

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:
• **Prof. Antoni Dudek:** Donald Trump zdemolował wspólnotę euroatlantycką
• **Andrzej Konopka:** Mam rysy gagatka, dlatego jestem obsadzany w rolach drani

Piątek-niedziela,
23-25.01.2026
Nr 7 (2518)
Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)
www.i.pl
Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA



s. 4
Rada Pokoju,
czyli gorący
kartofel
światowej polityki

s. 20
Serial „Niebo”
dobrze pokazuje,
jak na ludzi działa
psychomanipulacja

s. 12-13

*Tu nic się nie zmienia: w niedzielę po raz 34.
zagra Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy*

GraMY



W poniedziałek magazyn

● Czy prezydent Karol Nawrocki ułaskawi mężczyznę, który od 20 lat siedzi w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił

Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski”



KIEDY U SĄSIADA PŁONIE...

Kiedy już wydawało się, że miliony rosyjskich rubli zainwestowanych w antyukraińską i pro-rosyjską propagandę w Polsce dają znakomite rezultaty, stało się coś dziwnego. Nie chcę pisać, że stał się cud, bo jest w tym za dużo patosu i sił nadprzyrodzonych. Stała się zbiórka „Ciepło z Polski dla Kijowa”. Początkowy wyznaczony cel - 400 tys. złotych na generatory dla zamrożonej przez rosyjskie ataki na infrastrukturę krytyczną Ukrainy - został osiągnięty w ciągu kilku godzin. Milion uzbierano w ciągu doby, a w tej chwili jest już ponad 5,5 miliona złotych.

Pierwsze generatory zakupione ze zbiórki mają trafić do końca tego tygodnia do Kijowa. Również rząd - jakoś się obudził - natychmiast zadeklarował, że wysyła do Ukrainy ponad 400 generatorów prądotwórczych z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych.

Być może pomoc od rządu Polski i tak by nastąpiła, ale bardziej po cichu, bo wszyscy - łącznie z politykami - jakby się wystraszyli być solidarni z Ukraińcami. Bo można usłyszeć, że jest się „ukropolinem” (co to w ogóle za określenie?), że „Wołyń (na platformie X niektórzy piszą Wolin, bo nie mają polskich znaków) pamiętamy” itp. itd. Bo ta część polskiej sceny politycznej, która ochoczo płynie na antyukraińskiej, a co gorsza, prorosyjskiej, wzniecającej przez kremłowskie pieniądze, fali jest wyjątkowo głośna i agresywna.

Okazało się jednak, że my, Polacy, nie jesteśmy tak prosto skonstruowani, jak się rosyjskim internetowym trollom i niektórym politykom wydawało. Bo można się z sąsiadem kłócić, bo można go nie lubić, toczyć nawet wojnę podjazdową. Ale jak u sąsiada płonie dach, to trzeba mu pomóc gasić pożar.

A Ukraińcy są w niezwykle trudnej sytuacji. Rosyjskie ataki spowodowały, że przy klikunastostopniowych mrozach (Rosjanie w końcu doczekali się ostrej zimy) ludzie siedzą w domach po ciemku i bez ogrzewania nawet po kilka dni. Błyskawiczna zbiórka i pomoc to nie tylko realne wsparcie, ale i ludzki gest, który waży równie wiele.

A w niedzielę kolejny finał WOŚP. Można Owsiaka lubić, można go nie lubić. Ale warto wesprzeć maluchy z chorobami przewodu pokarmowego.

”

Szkoda, że Pan Prezydent nie docenia, że rząd umożliwił mu – bez strat w stosunkach Polska-USA – uniknięcie wpadki. Polska powinna grać do jednej bramki

Radosław Sikorski, szef MSZ, na platformie X

LEONARD BOLC, WYBITNY POLSKI UCZONY

Wmoich felietonach staram się przywoływać sylwetki wybitnych polskich uczonych, prekursorów wielu dziedzin nauki, przy czym najchętniej robię to w odniesieniu do polskich twórców sztucznej inteligencji - zwłaszcza takich, których miałem zaszczyt i przyjemność znać. Leonard Zygmunt Bolc, o którym piszę, położył wielkie zasługi w informatyce, a zwłaszcza w obszarach komputerowego przetwarzania języka naturalnego i szeroko rozumianej sztucznej inteligencji. Jednak początki jego aktywności naukowej wcale na to nie wskazywały, gdyż ukończył na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (w 1958 roku) studia filologiczne, a potem na tymże Uniwersytecie w 1964 roku uzyskał stopień doktora także w obszarze filologii.

Przełom w jego aktywności naukowej wiązał się z wyjazdem do RFN. Tam prowadził badania dotyczące komputerowej analizy języka naturalnego - najpierw na Uniwersytecie

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



w Münster, a potem na Uniwersytecie w Bonn. Na tym ostatnim Uniwersytecie uzyskał habilitację według prawa niemieckiego, która została potem zatwierdzona w Polsce. Trzeba pamiętać, że w latach 60. Niemcy były podzielone na dwa bardzo istotnie różniące się państwa: kapitalistyczne RFN i socjalistyczne NRD, a praca w tym drugim była pod wieloma względami mniej korzystna. Jednak Leonard Bolc nawiązał bliską współpracę z Uniwersytetem Technicznym w Dreźnie (NRD) i pracował przy tworzeniu narzędzi do cyfrowego generowania głosu. Prace te znajdowały zastosowanie praktyczne w syntezatorach mowy dla różnych urządzeń technicznych.

W 1971 roku Leonard Bolc powrócił do Polski i na Uniwersytecie Warszawskim pra-

cował w Instytucie Informatyki, gdzie kierował Zakładem Analizy i Syntezy Informacji. W 1987 rozpoczął pracę w Instytucie Podstaw Informatyki PAN, gdzie po raz pierwszy nasze drogi się spotkały. Ja w tym czasie miałem już na koncie pracę magisterską zatytułowaną „Bioniczna koncepcja analizatora mowy” (1971), rozprawę doktorską „Wybrane zagadnienia rozpoznawania obrazów dźwiękowych” (1975) i habilitację „Głosowa łączność człowieka z maszyną cyfrową” (1978), kilkadziesiąt artykułów na temat analizy mowy i tekstów w języku naturalnym, a w druku była moja książka „Sygnał Mowy”. Nic dziwnego, że docent Bolc z chęcią przysłał na spotkania i rozmowy, które odbywaliśmy w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, a ja poznawa-

łem prace jego zespołu pracującego nad metodami przyjaznej interakcji człowieka z komputerem. Bardzo zabawne było to, że zespół docenta Bolca nazywał budowane programy imionami krasnoludków z bajki „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, więc spotkania z Bolcem zaczynałem zwykle od pytania „Co nowego z Koszałkiem Opałkiem?”, co postronnych uczestników rozmowy trochę dziwiło.

Docent Bolc starał się ukierunkować moje badania na zagadnienia związane z językiem naturalnym i dlatego przysyłał mi liczne książki na ten temat. Ale mnie wciągnęły zagadnienia dotyczące biocybernetyki. Docent Bolc nie obraził się, tylko pomógł mi w ten sposób, że jako edytor Akademickiej Oficyny Wydawniczej PLJ/EXIT w 1993 roku wydał pierwszą w Polsce moją książkę na temat sieci neuronowych. Odwdzięczyłem mu się, gdy optowałem w CKK za przyznaniem mu tytułu profesora nauk technicznych.

To był wspaniały człowiek!

DOŚĆ POLITYKI CHAOSU

Wdyskusjach politycznych nie sposób dziś uciec od sytuacji międzynarodowej, bo - mówiąc krótko i dosadnie - nasz komfort życia i z trudem budowany od ponad 35 lat dobrobyt - wciąż dla wielu niewystarczający - mogą znaleźć się pod realnym zagrożeniem. Światowy porządek dynamicznie się zmienia, dotychczasowe sojusze stają pod znakiem zapytania, co może zaburzyć istniejące powiązania handlowe i doprowadzić do eskalacji konfliktów, których skutków trudno dziś nawet oszacować.

Ukraina, Ameryka Południowa (Wenezuela), Bliski Wschód (Gaza, Izrael, Iran), Daleki Wschód (Tajwan), a od niedawna Północ (Gren-

Marek Mazurkiewicz
publicysta



landia) to tylko część punktów zapalnych, które przyciągają uwagę świata. Trudno zrozumieć i przyjąć, że także Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za pogłębianie globalnej niestabilności.

Nazwisko Trumpa nie schodzi z nagłówek gazet, portali i serwisów informacyjnych, a media oraz politycy z zacięciem pomieszanym z niedowierzaniem śledzą jego coraz bardziej kontrowersyjne wypowiedzi i decyzje. Aleksander Kwaśniewski, komentując działania amery-

kańskiego prezydenta, stwierdził, że przypominają one „jakiś obłęd” - i trudno nie odnieść wrażenia, że jego polityka służy przede wszystkim jego osobistemu wizerunkowi. Na to wskazywać może list do premiera Norwegii, w którym Trump miał wyrażać rozczarowanie nieotrzymaniem pokojowej Nagrody Nobla.

Kolejną koncepcją prezydenta USA jest tzw. Rada Pokoju, której celem ma być m.in. nadzór nad odbudową Strefy Gazy. Kontrowersje bu-

dzi nie tylko „wpisowe”, wynoszące - według doniesień medialnych - 1 miliard dolarów w gotówce, ale i skład, do którego zaproszono prezydentów Rosji i Białorusi. Zaproszenie wpłynęło też do Kancelarii Prezydenta Karola Nawrockiego.

Trumpowi trzeba powiedzieć „dość” i wyrazić solidarność z europejskimi sojusznikami. Będzie to nie tylko próba powstrzymania chaosu, do którego prowadzi polityka prezydenta USA, ale i wyraz odpowiedzialności za naszą przyszłość. Dobrze więc się stało, że prezydent i jego doradcy zachowali się w Davos rozsądnie i przyzwoicie, zrezygnując z udziału w osobliwej Radzie Pokoju i zastrzegając się polskim prawem.

Z CZEGO JUTRO ...? CZYM SKUTKUJE UTRATA WIDZENIA WOLNOŚCI GOSPODARCZEJ?

W „JNeurosci” oficjalnym czasopiśmie The Society for Neuroscience 15 grudnia 2025 w dziale artykułów badawczych ukazał się „Recovery of retinal terminal fields after traumatic brain injury: evidence of collateral sprouting and sexual dimorphism”, czyli „Odbudowa końcowych pól siatkówki po urazowym uszkodzeniu mózgu: dowody na powstawanie odrostów obocznych i dymorfizm płciowy”. Przedstawione wyniki badań były możliwe dzięki również finansowaniu przez Departament Obrony USA. Przywoływany artykuł jest przełomowy, bowiem jak podkreślają autorzy „po raz pierwszy badamy ewolucję zmian strukturalnych i funkcjonalnych w polach końcowych uszkodzonego układu wzrokowego”.

Wzrok jest dominującym i najważniejszym zmysłem dla większości współczesnych ludzi oraz wielu ssaków zwłaszcza naczelnych i drapieżników, choć nie wszystkich. U ludzi wzrok jest najbardziej rozwiniętym zmysłem, bowiem około 30-50% kory mózgowej człowieka jest

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



zaangażowane w przetwarzanie informacji wzrokowej zaś przetwarzanie dotyku zajmuje około jej 8%, a słuchu zaledwie 3%. Największa alokacja zasobów mózgu jest przeznaczona dla jednego zmysłu. Dla Homo sapiens i innych naczelnych wzrok stał się zmysłem nadrzędnym, który zdominował ewolucję mózgu i kultury. Dla wyspecjalizowanych zaś grup ssaków jak nietoperze, walenie, czy krety wzrok został zastąpiony lub zredukowany na rzecz innych zmysłów lepiej dostosowanych do zajmowanej niszy ekologicznej. Jednak dla człowieka wzrok jest najbardziej uniwersalnym i informatywnie najbogatszym zmysłem dla życia i kluczowym w naszej percepcji świata, w tym w coraz większym stopniu odrealnionego i wirtualnego tworzonego przez AI.

Zachowanie wzroku, a w przypadku utraty jego od-

zyskanie jest jednym z najważniejszych obszarów współczesnej medycyny regeneracyjnej i okulistyki. Ogromne postępy w przywracaniu wzroku dokonują się za sprawą zastosowania terapii genowej, która wykorzystywana jest zwłaszcza do leczenia dziedzicznych chorób siatkówki poprzez dostarczenie prawidłowych kopii genów bezpośrednio do komórek oka. Znane do niedawna z filmów s-f bioniczne protezy siatkówki, czyli zaawansowane implanty są w stanie przesyłać sygnały wizualne bezpośrednio do nerwu wzrokowego lub kory mózgowej, omijając uszkodzone fotoreceptory.

Miliony osób żyją z częściową bądź całkowitą ślepotą, a miliardy doświadczają upośledzenia wzroku, stad doniosłość badań gatunków, które potrafią w pełni zregenerować wzrok jest tak ważna dla naszego gatunku. W opu-

blikowanym w „JNeurosci” artykule naukowcy z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa przedstawili wyniki badań na myszach, co dzieje się w ich mózgu po urazie między połączeniami komórek w układzie wzrokowym a neuronami. Wynika z nich, że „komórki w oczach myszy zwiększyły rozgałęzianie się lub kielkowanie, aby zrekompensować uszkodzone komórki” oraz że „samce myszy regenerowały się szybciej i pełniej po urazie niż samice, co odzwierciedla fakt, że kobiety zazwyczaj doświadczają objawów wstrząsu mózgu dłużej niż mężczyźni”. Ssakom generalnie brakuje takich zdolności jakie posiadają inne gatunki, stąd nadal trwają poszukiwania metod przywracania ludzkiego wzroku. Już samo zrozumienie w jaki sposób nasz organizm przywraca pewien poziom widzenia po urazie przyspieszy opracowanie terapii chorób wzroku. Naukowców w badaniach nagli tak znacząca na świecie liczba ludzi pozbawionych najbardziej podstawowego zmysłu do funkcjonowania.

W ludzkim życiu jak wzrok do normalnego funkcjonowania potrzebna jest wolność go-

spodarcza. Ikonicznym symbolem wolności jest Statua Wolności w Nowym Jorku trzymająca pochodnię. Światło pochodni wskazuje drogę do wolności niczym latarnia morską prowadząca okręty do bezpiecznego portu i oświeśla świat ideami wolności, które zawsze były nadzieją na nowe życie i obietnicą lepszej przyszłości. Historia narodu polskiego jest przepełniona bezbrzeżną nadzieją wolności, która była fundamentem motywacji życia i działania wielu pokoleń, dając im poczucie sensu w najbardziej dramatycznych momentach. Bez wolności, a zwłaszcza wolności gospodarczej jak bez wzroku nasze „Human Action” jest niepełne i zubożone. Ograniczenie wolności gospodarczej w Drugiej Rzeczypospolitej, a później jej brak w PRL sprawiał, że pracowaliśmy za ciężko i za długo jak pańszczyzniani chłopci. Trzecia Rzeczpospolita ma najniższy poziom wolności gospodarczej wśród państw Unii według badań Instytutu Fräsera i Centrum im. Adama Smitha co sprawia, że przeszłość znów nas dopada z pogorszającym się poziomem życia.

W czasie wojny we wszystkich armiach świata marnowanie zasobów jest karalne. Wolność gospodarcza, która za sprawą ustawy Wilczka wprowadziła polskie społeczeństwo na drogę dobrobytu jest zasobem najbardziej dziś niedocenianym i niezauważalnym, a od dawna odbieranym. Parający się polityką nie widzą, a przez to nie rozumieją wolności gospodarczej, że bez niej nawet podtrzymanie dobrobytu staje się niemożliwe w systemie traktującym ją jako niepożądaną pozostałość po fasadowej demokracji. Bez odtworzenia sprawdzonego wzorca rozwoju opartego na wolności gospodarczej i ograniczonej interwencji rządu w procesy ekonomiczne pozostaje stacanie się po „The Road to Serfdom”, którego szybkość jest proporcjonalna do rosnącego długu.

Jeżeli można przywrócić wzrok to tym bardziej można też przywrócić wolność gospodarczą.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989.

WYŚLIJMY HOŁOWNIĘ DO RADY POKOJU

Niepotrzebny nam tupecik dzisiaj Donalda Trumpa

*Muzyka się kręci, jak w Porto Allegre samba
Dubujemy twoją nienawiść i złobimy dobry kurs
Każdy każdemu kiedy trzeba idzie w sukurs”
A teraz: Salam alejkum, szalom
Niechaj pokój spłynie tutaj na każdy dom
Salam alejkum, szalom
Niechaj pokój spłynie tutaj na każdy dom.*

To fragment popularnego przeboju „Bless” polskiego zespołu Vavamuffin, który ukazał się już ponad 20 lat temu. Przyznam się, że to właśnie z tej piosenki dowiedziałem się po raz pierwszy o istnieniu takiego człowieka jak Donald Trump. I nie za bardzo wiedziałem wówczas o co chodzi z tym „tupecikiem”.

Minęło 20 lat i dziś każdy na świecie wie kim jest Donald Trump, a taneczny przebieg Vavamuffin okazał się na swój sposób proroczy.

Możemy też domyślać się co autorzy tekstu tej piosenki

Maciej Sandecki
publicysta



(Paweł Sołtys, Marcin Krasowski, Krzysztof Fląt - red.) mieli na myśli z tym „tupecikiem”. Słownik podaje, że tupecik to „półperuka ukrywająca łysinę nad czołem”, ale również “duża pewność siebie i zachwłość granicząca z bezczelnością”. Oba znaczenia jak ułaj pasują do Trumpa.

Jest on z pewnością jednym z najbardziej pewnych siebie, zuchwałych i bezczelnych polityków tego stulecia. Każde jego wystąpienie publiczne jest tak aroganckie, a zarazem narcystyczne, że szokuje, obraża i budzi zażenowanie jednocześnie.

Kilka miesięcy temu do kin wszedł film „Wybraniec”, który jest fabularyzowaną historią z życia Donalda Trumpa (film jest też dostępny na platformie Max), a właściwie życia Roya Cohna, bezwzględnego prawnika milionerów i mafiosów, który w latach 80-tych

stał się mentorem Trumpa. W filmie Roy Cohn zaszczyił Trumpowi trzy zasady na osiągnięcie życiowego i biznesowego sukcesu: „Po pierwsze: atakuj, atakuj, atakuj. Po drugie: nie przyznawaj się do niczego i wszystkiemu zaprzeczaj. I zasada trzecia: bez względu na to, co się stanie, ogłaszaj zwycięstwo i nigdy nie przyznawaj się do porażki”.

Trzeba przyznać, że te trzy zasady Roya Cohna, Donald Trump opanował w polityce do perfekcji. Właściwie stosuje

ją w każdym aspekcie swojej działalności.

W minionym tygodniu zszokował świat swoimi wypowiedziami na temat Grenlandii oraz powołaniem nowej organizacji międzynarodowej - Rady Pokoju, do której zaprosił m.in. Putina i Łukaszenkę.

Najpierw oczywiście zaatakował mówiąc, że USA muszą mieć Grenlandię i będą ją miały. Zszokował tym europejskich przywódców, z których część postanowiła wysłać na Grenlandię symboliczne oddziały wojska, a w odpowiedzi Trump zagroził im nałożeniem dodatkowych ceł. Dwa dni później jednak spuścił z tonu, i ogłosił, że nigdy nie zamierzał przejmować Grenlandii siłą, a z nałożenia ceł się wycofał. Amery-

kańskie media podały, że w międzyczasie zawarto porozumienie, na mocy którego Grenlandia pozostanie duńska, ale Amerykanie zwiększą tam swoją obecność militarną i biznesową. Koniec końców Trump zapewne ogłosi zwycięstwo.

Podobnie pewnie będzie z Radą Pokoju, której powołaniem wprawili w konsternację Europę. Część państw, jak Francja, Kanada czy Hiszpania już zapowiedziały, że do rady nie przystąpią, bo to ma być prywatna organizacja Trumpa, konkurencyjna wobec ONZ.

Niezależnie jednak od tego, kto do tej Rady przystąpi, a kto ją zbojkotuje, kogo Trump pochwali, a kogo postraszy cłami, na koniec i tak wyjdzie i powie, że rada osiągnęła wielki sukces. Tego możemy być pewni na 100 procent.

Czasem można odnieść wrażenie, że Trump robi sobie jaja ze światowych przywódców, którzy traktują jego słowa na poważnie, a tymczasem on sam ma z tego niezły ubaw i wciela w życie powiedzenie: w tym szaleństwie jest metoda. Tyle, że innym wcale nie jest do śmiechu, kiedy widzą, że najpotężniejszy człowiek na planecie zachowuje się jak błazen, bo nie wiedzą jak się zachować.

Polskie władze też nie wiedzą. Z jednej strony widzą, że Rada Pokoju to fasadowa, kuriozalna, powołana na chybiczka prywatna organizacja, a z drugiej nie chcą narażać się na wojnę w Ukrainie. Prezydent Nawrocki więc uczestniczył w inauguracji Rady, ale niczego nie podpisywał, bo nawet zgodnie z Konstytucją nie mógł.

Mam jednak pewną propozycję, równie niepoważną jak zachowania prezydenta USA. Wyślijmy do rady Pokoju Szymona Hołownię. Biedak przestał być marszałkiem, nie został wysokim komisarzem w ONZ, a na dodatek sypie mu się partia, własnego imienia.

Hołownia ma podobnie wybujałe ego jak Trump, podobnie jak on uwielbia plawić się w swojej elokwencji i podobnie jak on potrafi zmieniać zdanie i odwracać kota ogonem.

Najpierw swoją postawą doprowadził partię do dramatycznego spadku w sondażach, potem ogłosił, że ją opuszcza, a teraz gdy do ONZ nie pojechał, ogłosił właśnie, że “ruch nie dojrzał do zmiany przywództwa” i “tatuś wraca”. Może u boku mistrza narcyzmu zazna spokoju w tej radzie z tupecikami.

*NIEZALEŻNIE JEDNAK OD TEGO,
KTO DO TEJ RADY PRZYSTĄPI,
A KTO JĄ ZBOJKOTUJE, NA KONIEC
I TAK WYJDZIE I POWIE, ŻE RADA
OSIĄGNĘŁA WIELKI SUKCES*

RADA POKOJU: GORĄCY KARTOFEL W REKACH LIDERÓW

W Davos padło wiele ważnych słów, poruszono kwestię Rady Pokoju i Grenlandii. Ale warto zwrócić uwagę na wystąpienie prezydenta Francji Emmanuela Macrona i jego słowa o tym, że jedną szansą Europy jest wzmocnienie suwerenności, współpracy i skutecznego multilateralizmu

Dorota Kowalska

WDavos, na Światowym Forum Ekonomicznym działo się sporo, poruszono wiele tematów, głównie za sprawą ostatnich deklaracji Donalda Trumpa, ale dla nas najważniejsze są dwa: Rada Pokoju i Grenlandia.

Co do tego pierwszego: Rada Pokoju to jeden z ostatnich pomysłów amerykańskiego prezydenta. To ciało miałoby nadzorować tymczasowe władze w Strefie Gazy, ale też zajmować się między innymi rozwiązywaniem konfliktów na całym świecie. Trump ma być dożywotnim prezesem rady z prawem wyboru członków oraz zarządu i prawem weta.

Państwa członkowskie Rady Pokoju mają być wybierane przez Trumpa na trzyletnie kadencje, chyba że zapłacą ponad miliard dolarów za stałe członkostwo. Do Rady Pokoju Trump zaprosił sześćdziesięciu światowych przywódców, w tym Władimira Putina i Aleksandra Łukaszenkę, zaproszenie dostał także prezydent Nawrocki. Projekt od początku wzbudzał spore kontrowersje i postawił Karola Nawrockiego w trudnym położeniu. Odmówić - źle, nie odmówić - też nie za dobrze.

I tu prezydentowi Nawrockiemu z pomocą przyszedł polski rząd, a właściwie dostarczył mu alibi. Przed wyjazdem do Davos, Kancelarii Prezydenta zwróciła się z prośbą o opinię w sprawie tego zaproszenia do MSZ. Maciej Wewiór, rzecznik ministerstwa, nie ujawnił, czy była ona pozytywna, czy negatywna, ale przypomniał, że zgodnie z polskimi przepisami podpisanie umowy międzynarodowej wymaga zgody Rady Ministrów w formie uchwały.

To samo podkreślił premier Donald Tusk.

„Przystąpienie Polski do organizacji międzynarodowej wymaga zgody Rady Ministrów i ratyfikacji przez Sejm. Rząd kierować się będzie wyłącznie interesem i bezpieczeństwem państwa polskiego. I nikomu nie damy się rozegrać” - napisał



Do Rady Pokoju Trump zaprosił sześćdziesięciu światowych przywódców, w tym Władimira Putina i Aleksandra Łukaszenkę, zaproszenie dostał także prezydent Nawrocki

w poniedziałek premier na portalu X.

Więc Karol Nawrocki szedł w środę na spotkanie z Donaldem Trumpem trochę spokojniejszy. Po rozmowie z prezydentem USA przekazał, że amerykański prezydent przyjął ze zrozumieniem informację, iż z nami Polska dołączy do Rady Pokoju, takie porozumienie musi zostać zatwierdzone przez polski parlament i rząd.

- Jestem strażnikiem polskiej konstytucji. Każda międzynarodowa umowa, do której Polska przystępuje i którą prezydent parafuje, musi przejść przez polski parlament, musi być podjęta uchwałą Rady Ministrów. Zdaję sobie sprawę z zobowiązań konstytucyjnych i prezydent Donald Trump doskonale to rozumie - mówił w wywiadzie dla Telewizji Republika Karol Nawrocki. - Mówiliśmy o tym, że udział Polski jest oczywiście ważny, potrzebny w Radzie Pokoju. Moje wsparcie dla prezydenta Trumpa jest niezachwiane i wsparcie prezydenta Trumpa dla Polski. Natomiast abyśmy mogli podpisać w pełni nie tylko pewne zobowiązanie intencjonalne, polityczne, indywidualne, (...) w imieniu narodu polskiego, to tego typu porozumienie międzynarodowe musi

przejsć całą procedurę konstytucyjną - dodał.

Zdaniem prezydenta propozycja utworzenia Rady Pokoju jest chyba „najważniejszą” i „najszerzej, obok Grenlandii, dyskutowaną w Davos kwestią”.

Wysoki rangą urzędnik Białego Domu poinformował w środę, że do tej pory około trzydziestu pięciu światowych przywódców zobowiązało się do dołączenia do Rady Pokoju. Wśród nich sojusznicy z Bliskiego Wschodu, tacy jak Izrael, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Jordania, Katar i Egipt. Do inicjatywy dołączają państwa członkowskie NATO: Turcja i Węgry, na udział w Radzie zgodziły się też Maroko, Pakistan, Indonezja, Kosowo, Uzbekistan, Kazachstan, Paragwaj i Wietnam, Armenia i Azerbejdżan.

Zaproszenie prezydenta Stanów Zjednoczonych przyjął białoruski dyktator Aleksandr Łukaszenka. Rosja, wedle deklaracji Trumpa, również wyraziła chęć uczestnictwa w Radzie.

Za to Norwegia i Szwecja odrzuciły zaproszenie do Rady Pokoju, a minister gospodarki Włoch Giancarlo Giorgetti stwierdził, że udział w niej wydaje się problematyczny. Jak tłumaczył włoski dziennik „Il Cor-

riere della Sera”, dołączenie do grupy kierowanej przez przywódcę jednego kraju naruszałoby włoską konstytucję.

Francja również zamierza odrzucić zaproszenie, przynajmniej tak mówią źródła bliskie prezydentowi Emmanuelowi Macronowi. Kanada wyraziła „w zasadzie” zgodę na dołączenie, ale szczegóły są nadal pracowane. Jasnej odpowiedzi nie ma z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Japonii i Chin.

Ukraińscy dyplomaci analizują zaproszenie, ale prezydent Zełenski stwierdził, że trudno mu sobie wyobrazić zasiadanie w jakimkolwiek zarządzie z Rosją po czterech latach wojny.

Co do Grenlandii, w Davos Trump poinformował, że w oparciu o jego spotkanie z szefem NATO opracowano ramy przyszłego porozumienia dotyczącego wyspy. Dodał, że nie należy cel na osiem europejskich krajów, które wysłały na Grenlandię swoich żołnierzy.

Nie chciał odpowiadać na pytanie, czy USA obejmą własność nad wyspą, jak tego chciał. Zaznaczył jednak, że USA otrzymają wszystko, czego chciały i że będzie to „długoterminowa” umowa.

Według dziennika „New York Times” zapowiedziana

przez prezydenta USA umowa może obejmować amerykańską suwerenność nad niewielkimi częściami terytorium Grenlandii, na których mogłyby powstać bazy wojskowe. Rozmówcy przekazali gazecie, że do tego planu dążył sekretarz generalny NATO.

Rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt oświadczyła, że szczegóły porozumienia wciąż muszą być dopracowane i dopiero wtedy zostaną upublicznione.

- Jeśli ta umowa będzie przyjęta, a prezydent Trump ma wielką nadzieję, że będzie, USA osiągną wszystkie swoje strategiczne cele w sprawie Grenlandii na zawsze, bardzo niewielkim kosztem - przekazała Leavitt.

Z kolei portal Axios, powołując się na swoje źródła, donosi, że propozycja szefa NATO Marka Ruttego dotycząca Grenlandii zakłada, że duńska suwerenność nad tym terenem zostanie poszanowana, zaktualizowane zostanie też porozumienie dotyczące obrony Grenlandii zawartego między USA i Danią w 1951 roku. Na mocy tej umowy o współpracy obronnej siły amerykańskie stacjonują na Grenlandii. Projekt zawiera też zapisy dotyczące zwiększenia bezpieczeństwa wyspy i aktywności NATO w Arktyce oraz dodatkowe prace dotyczące surowców.

Znajdują się w nim też sformułowania w sprawie ulokowania części amerykańskiego projektu obronnego, Złotej Kopuły, na Grenlandii oraz zwalczania „złośliwych zewnętrznych wpływów” ze strony Rosji i Chin.

Złota Kopuła to ogłoszony przez Trumpa projekt nowej tarczy antyrakietowej, zakładający umieszczenie części jego elementów w przestrzeni kosmicznej. Ma to być rozwinięcie projektu zainicjowanego przez Ronalda Reagana nazwanego przez dziennikarzy programem „Gwiezdnych wojen”.

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte powiedział w środę w telewizji Fox News, że kwestia suwerenności Danii nad Gren-

landią nie była tematem jego rozmów z prezydentem USA.

- Mocno skoncentrowaliśmy się na tym, co musimy zrobić, by zapewnić ochronę tego wielkiego regionu Arktyki, który się zmienia, na którym Chińczycy i Rosjanie są coraz bardziej aktywni - tłumaczył.

Przekazał, że podczas rozmów przyznano rację Trumpowi w sprawie tego, że region Arktyki wymaga zbiorowej ochrony. Zaznaczył, że USA kontynuują rozmowy z Grenlandią i Danią.

Premierka Danii Mette Frederiksen przekazała w oświadczeniu, że NATO jest w pełni świadome stanowiska Danii i że została poinformowana o tym, że rozmowy sekretarza generalnego Sojuszu nie dotyczyły suwerenności jej kraju.

„Bezpieczeństwo w Arktyce jest sprawą całego sojuszu NATO. Dlatego jest rzeczą dobrą i naturalną, że jest ono również przedmiotem dyskusji między sekretarzem generalnym NATO, a prezydentem Stanów Zjednoczonych” - wskazała. „Królestwo Danii pragnie kontynuować konstruktywny dialog z sojusznikami na temat tego, jak możemy wzmocnić bezpieczeństwo w Arktyce, w tym Złotej Kopuły Stanów Zjednoczonych, pod warunkiem, że odbywa się to z poszanowaniem naszej integralności terytorialnej” - dodała.

Co jeszcze w Davos mówił Donald Trump? Mówił także o „niewdzięczności” premiera Kanady, o tym, jak inne kraje powinny pójść w ślady Wenezueli, a także o okularach Emmanuela Macrona, bo prezydent Francji wystąpił w Davos w przyciemnianych okularach, ale też według francuskich mediów ma pęknięte naczynie krwionośne w oku.

Jednak ważniejsze od okularów, wydaje się wystąpienie prezydenta Macrona, mocne, z jasnym przekazem. Ostrzegł w nim przed odchodzeniem od zasad prawa międzynarodowego i wzrostem „ambicji imperialnych”, trudno się nie domyślać, że chodzi o ostatnie czyny i słowa Donalda Trumpa. Podkreślił, że odpowiedzią Europy powinno być wzmocnienie suwerenności, współpracy i skutecznego multilateralizmu. Zapowiedział, by przycisnąć trendów do wyznaczenia kierunków przez „prawo silniejszego”.

- Lubię go, naprawdę go lubię. Trudno w to uwierzyć, prawda? - mówił swoim wystąpieniu Trump, oskarżając Francję o wykorzystywanie USA w kwestii leków na receptę przez ponad 30 lat.

Można prezydenta Macrona lubić lub nie, ale trudno nie przyznać mu racji: jedną szansą Europy w zmieniającej się sytuacji geopolitycznej jest wzmocnienie suwerenności, współpracy i skutecznego multilateralizmu. **PAP**

Klaudia Zwolińska
Sportowcem Roku 2025

Gratulujemy naszej Ambasadorce
i życzymy wielu kolejnych
zwycięstw

PGE. Energia sukcesu dla Ciebie



PROF. ANTONI DUDEK: DONALD TRUMP ZDEMOLOWAŁ WSPÓLNOTĘ EUROATLANTYCKĄ

– Najbardziej korzysta na tym jego główny przeciwnik, z którym walczy, czyli Chiny, bo to drugie supermocarstwo i ono będzie coraz potężniejsze. Nie mam cienia wątpliwości, że Chińczycy są głównym beneficjentem działań Trumpa. Nawet nie Putin, Putin krótkoterminowo, ale długoterminowo to Chiny najwięcej zyskują na kryzysie, który wywołał Trump – mówi prof. Antoni Dudek, politolog

Dorota Kowalska

Panie profesorze, nadaża pan za Donaldem Trumpem?

Za nim chyba nikt nie nadaża, więc problem ma jego otoczenie. Natomiast my będziemy mieli problemy w przyszłości, nawet jak Trumpa już nie będzie. Dlatego, że on kompletnie rozregulowuje porządek światowy, który ukształtował się po II wojnie światowej i przetrwał kilkadziesiąt lat. Powrót do niego nie będzie już raczej możliwy, chociaż nie wiemy, jak się to wszystko skończy, bo przed nami jeszcze trzy lata tej prezydentury. Rozmawiamy akurat w momencie, kiedy minął pierwszy rok z czterech drugiej kadencji Trumpa i na pewno będzie ona dużo burzliwsza niż ta pierwsza, którą świat jakoś przetrzymał bez tak daleko idących zmian. Teraz te zmiany będą na pewno znacznie głębsze i to na wielu poziomach. Jestem w stanie wypowiedzieć się tylko na temat niektórych z nich. Tą najistotniejszą jest z całą pewnością kres porządku tak zwanego euroatlantyckiego, czyli sojuszu, który ukształtował się między Europą a Stanami Zjednoczonymi po II wojnie światowej. To był sojusz dla nas bardzo przyjemny i sympatyczny, powiem brutalnie i tu się z Trumpem zgodzę i nie tylko z nim, że jego istotą było to, że Amerykanie zgodzili się bronić Europy za swoje pieniądze. Ale wszystko się kiedyś kończy i teraz jesteśmy w fazie dość brutalnego rozvodu, w którym jedna ze stron powiedziała: dość. Kazus Grenlandii jest najlepszym przykładem.

Myśli pan, że Trump rzeczywiście przejmie w jakiś sposób Grenlandię?

Moim zdaniem – tak. Tylko nie sądzę, żeby to się odbyło w drodze militarnej, raczej w drodze wymuszenia na Danii jakiejś formy koncesji. Oczywiście

Trump chce, żeby to był, nie wiem, kolejny stan amerykański, czy jakieś terytorium zależne. Nie jestem pewien, czy Duńczycy się zgodzą na coś takiego. Natomiast w praktyce Amerykanie przejmą kontrolę nad Grenlandią. Co zresztą właściwie już ma miejsce, dlatego, że jeśli przyrzeć się bliżej, to jedyna baza wojskowa na terytorium Grenlandii jest amerykańska. W tym sensie cała ta argumentacja Trumpa, że musi chronić Grenlandię przed Chińczykami i Rosjanami, jest dość dyskusyjna, czy wręcz nieprawdziwa. Chodzi tak naprawdę o bogactwa naturalne kryjące się pod lodami Grenlandii, to generalnie interes Stanów Zjednoczonych. Natomiast w przypadku samego Trumpa chodzi o to, że on chce być koniecznie tym prezydentem, który powiększy terytorium USA, co się nie zdarzyło od dość dawna żadnemu z jego poprzedników.

Część krajów europejskich w ramach solidarności z Danią wysłała tam jakieś symboliczne wojska, Polska tego nie zrobiła. To był błąd?

Nie. Uważam, że zachowaliśmy się bardzo racjonalnie. Mamy bez porównania trudniejszą sytuację geopolityczną niż Francuzi czy Brytyjczycy, czy nawet Niemcy, którzy tam wysłali swoich żołnierzy. Mamy Putina u granic i gdyby Putin nas zaatakował, jedynym realnym sojusznikiem, co do którego moglibyśmy mieć nadzieję, że może nam przyjść z jakąś pomocą, są Amerykanie. Więc wykonywanie przez Polskę ruchów nieprzyjaznych wobec Waszyngtonu jest samobójcze. Zakładamy, że naszym głównym przeciwnikiem jest Putin, a nie amerykański imperializm. Tu wracamy do sporu, który się toczył w Polsce przez cały okres po II wojnie światowej. To ko-

muniści mówili, że zagraża nam imperializm amerykański, a Związek Sowiecki nas przed nim ochroni. Większość społeczeństwa w to powątpiewała, więc jak już to społeczeństwo mogło coś powiedzieć po roku 1989, to wybrało opcję amerykańską i do dziś w niej jesteśmy. Natomiast nie mamy takiego potencjału, jak wymienione przeze mnie kraje w rodzaju Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii, żebyśmy sobie mogli pozwolić na tego typu demonstracje, a zarazem nie mamy terytorium zależnego gdzieś na świecie, tak jak mają Duńczycy. Więc w tej sprawie nasza chata skrają. Zresztą ten podział w Europie wobec stosunku do Amerykanów będzie się pogłębiał.

Teraz Donald Trump zakłada Radę Pokoju, zaprasza do niej przedstawicieli wielu krajów, w tym Putina i Łukaszenkę. Tylko że każdy, kto tam wejdzie, ma wpłacić na dzień dobry miliard dolarów.

Z tego, co doczytałem, nie na dzień dobry, tylko po jakimś czasie, jak zechce zostać stałym członkiem tego ciała. Tylko dla mnie nie jest jasne, czy ta Rada Pokoju ma się zajmować tylko Strefą Gazy i te miliardy mają iść na odbudowę Gazy, czy na coś innego. Za mało znam szczegółów, żeby się w tej sprawie jednoznacznie wypowiadać, poza jednym - ta inicjatywa świetnie pokazuje, jak Trump wyobraża sobie nową organizację porządku światowego. On chce tworzyć nowe struktury, powiedziałbym, niezależne od Stanów Zjednoczonych, bo jest jasne, że tej Radzie Pokoju to on ma przewodniczyć czy szerzej - Amerykanie. I jest to właściwie ciąg dalszy różnych wcześniejszych pomysłów amerykańskich. NATO też było amerykańskim pomysłem. Więc nie traktowałbym

tego jako wyłącznie przedmiot żartów, tylko jako nowy pomysł Amerykanów. Natomiast nie wróżę tej Radzie Pokoju jakiegokolwiek dłuższego bytu. Zobaczmy, jak zareagują inni główni gracze. My powinniśmy spokojnie się przyglądać. W polskiej polityce zagranicznej potrzebne jest więcej spokoju, więcej dystansu, mniej hysterii. Jesteśmy krajem średniej wielkości, o nienajlepszym położeniu, żeby nie powiedzieć złym położeniu geopolitycznym i powinniśmy dostosować naszą politykę zagraniczną właśnie do tego, jak ograniczonym potencjałem dysponujemy i gdzie jesteśmy zlokalizowani. Czy pan prezydent Nawrocki wejdzie do tej Rady Pokoju, pewnie wejdzie, czy nie, to nie ma większego znaczenia dla tego, jak będzie się rozwijała nasza sytuacja międzynarodowa.

Czytał pan list Donalda Trumpa do premiera Norwegii?

Tak. Niestety, jest to rzecz, która przejdzie do historii dyplomacji.

Brzmiął jak list obrażanego dziecka, który nie dostał kolejnej zabawki.

Dokładnie tak, ma pani całkowicie rację. Ten list przejdzie do historii dyplomacji jako przejaw pewnego politycznego infantylizmu. Rozumiem, że Trump nie jest pierwszym prezydentem amerykańskim, który czegoś chciał, tego nie dostał i był potem z tego powodu sfrustrowany. Jak ktoś poczyta biografie amerykańskich prezydentów, to dowie się o podobnych frustracjach. Tylko nikt nie okazywał ich tak otwarcie, jak Donald Trump i w tym sensie nie narażał się na śmieszność. Ale też powiem tak: nas to może śmieszyć, ale pamiętajmy, że Donald Trump raczej

nie zakłada trzeciej kadencji, choć w jego obozie pojawiły się pomysły zmiany konstytucji. Więc on ma poczucie, że została mu trzy lata, w których musi sobie poużywać i właściwie nie ma żadnych ograniczeń. W związku z tym spodziewam się kolejnych tego typu posunięć. One może i są groteskowe i śmieszne, ale nie zagrażają ładowi światowemu, tak jak sprawa Grenlandii. Więc z tego punktu widzenia jest to kuriozalne, ale niegroźne.

Nie ma pan wrażenia, że Donald Trump ma jakieś problemy sam ze sobą?

Z całą pewnością! Iluś ludzi to definiuje z pozycji, powiedziałbym, jego stanu psychicznego. Też tak uważam. Czytałem jego biografię i twierdzę, że te problemy nie pojawiły się, kiedy Trump wygrał drugi raz wybory prezydenckie czy nawet pierwszy raz, tylko dużo wcześniej. One ulegają nasileniu, co jest związane z jednej strony z wiekiem, a z drugiej strony - jednak z sukcesami. Trump wygrał po raz drugi wybory prezydenckie, więc uznał, że skoro Amerykanie mu zawierzili i został po raz kolejny prezydentem supermocarstwa, to nie ma ograniczeń. Także na pewno coś tam w jego głowie się dzieje, ale obawiam się, że niczego to nie zmieni. Chyba że zacznie się zachowywać tak, że Kongres, zwłaszcza po wyborach, uruchomi procedurę impeachmentu, ale na razie bym na to nie liczył.

Amerykanie chyba trochę się przebudzili, w każdym razie notowania Trumpa są w Stanach Zjednoczonych złe. Mam wrażenie, że nawet Republika nie widzą, że coś jest nie tak. Myślę, że część Republikanów na pewno. To nie jest przypadek, że przyjeżdżały do Europy delegacje Kongresu

na czele z Republikanami i senatorami republikańskimi, którzy dystansowali się od Trumpa, zdając sobie sprawę, że Trump kompromituje Amerykę na świecie, a skutki tej kompromitacji będą odczuwalne długo po tym, jak jego kadencja się skończy. Tylko że ich pole manewru jest ograniczone, bo jak mówię, zostaje im tylko procedura impeachmentu. Jeżeli mówi się o badaniach, to wszystko jest względne. Natomiast, jeżeli na przykład okaże się, że wybory do Kongresu przyniosły miażdżącą klęskę partii republikańskiej, największą w historii, to oczywiście Demokraci będą próbowali dokonać impeachmentu Trumpa, nie mam co do tego cienia wątpliwości. Czy tak będzie? Czy Trump aż tak bardzo osłabił partię republikańską, że te nastroje aż tak znacząco się przesuną - tego nie wiem i tego do dnia ogłoszenia wyników wyborów się nie dowiemy. Natomiast wiemy jedno, że Trump, zwłaszcza przed wyborami, będzie wykonywał różne ruchy, które będą miały zapobiec klęsce Republikanów. Zobaczymy, jakie to będą ruchy.

Co właściwie może w takiej sytuacji zrobić Europa? Pan przed chwilą powiedział, że Trump tę Europę jeszcze bardziej podzieli, ale chyba tylko jedność może nas uratować. Jedność byłaby wskazana. Natomiast nie mam przekonania, czy tę jedność zobaczymy, bo Europa od zawsze miała problem z jednością i paradoksalnie projekt unijny jest w dużym stopniu wymuszony przez Amerykanów, tylko innych Amerykanów, tych z przełomu lat 40. i 50., bo to się zaczęło od planu Marshalla. I tak naprawdę, jeśli ktoś zna korzenie integracji europejskiej, to wie,

że Amerykanie bardzo mocno się w nią zaangażowali. Teraz teoretycznie Europejczycy powinni wyciągnąć z tego wnioski. Natomiast czy wyciągną, mam wrażenie, że przeciwnie. W krajach europejskich narasta eurosceptycyzm. Partie prawicowe, populistyczne, krytyczne wobec Unii jako ograniczającej suwerenność poszczególnych państw narodowych są coraz popularniejsze. Więc nie mam wrażenia, że ta jedność jawi się na horyzoncie. Raczej mam poczucie, że będziemy świadkami procesu odwrotnego, tylko jeszcze nie wiem jak głębokiego. Natomiast, jeśli mnie pani pyta, co Europa mogłaby zrobić, to wyciągnąć wnioski z tego, co Amerykanie mówią jej nie od początku prezydentury Trumpa, tylko od lat 90. minionego wieku, że Europa musi przeznaczać nieporównanie więcej pieniędzy na swoją obronę i musi się zacząć bronić sama. Nie tylko przed Putinem, choć on jest dzisiaj głównym zagrożeniem. Mam nadzieję, że przynajmniej na poziomie pewnej koordynacji programów zbrojeniowych Europa sobie poradzi, że nie skończy się to klęską, tak jak parę innych europejskich pomysłów, że wspomnę chociażby legendarną strategię liżbońską, która miała uczynić gospodarkę europejską najbardziej innowacyjną na świecie. Było ileś programów unijnych, które delikatnie mówiąc pozostały na papierze i są wstydliwą kartą w dziejach Unii. Mam nadzieję, że programy obronne taką wstydliwą kartą za dziesięć czy dwadzieścia lat się nie okażą.

Nie ma pan wrażenia, że na tej wojnie Trumpa z całym światem, na clach, które nakłada na kolejne państwa, najbardziej wygrywają Chińczycy, którzy siedzą cicho, obserwują, ale na przykład coraz więcej chińskich samochodów jeździ po krajach Europy.

No tak, tylko że akurat w tej ostatniej sprawie to kwestia polityki celnej Unii Europejskiej. Tego nam Trump nie narzucił. Natomiast zgadzam się całkowicie z tym, że Trump zdemolował wspólnotę euroatlantycką. Najbardziej korzysta na tym jego główny przeciwnik, z którym gwałczy, czyli Chiny, bo to drugie supermocarstwo i ono będzie coraz potężniejsze. Nie mam cienia wątpliwości, że Chińczycy są głównym beneficjentem działań Trumpa. Nawet nie Putin, Putin krótkoterminowo, ale długoterminowo to Chiny największą zyskują na kryzysie, który wywołał Trump. I tyle. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak będzie ta nowa zimna wojna przebiegała dalej, bo to nie jest też tak, że Amerykanie są już definitywnie na straconej pozycji. Chińczycy też mają masę własnych problemów, które



Prof. Antoni Dudek: Trump kompletnie rozregulowuje porządek światowy, który ukształtował się po II wojnie światowej i przetrwał kilkadziesiąt lat

próbują ukrywać, a z których niektóre wychodzą na zewnątrz. Więc porażka Zachodu w tej zimnej wojnie nie jest przesądzona.

Na rodzimym podwórku mamy wojnę, tyle że prezydenta z rządem, to ona zdominowała naszą polską politykę, prawda?

Tak, zdecydowanie. I to się nie zmieni do wyborów parlamentarnych, jak się obawiałem, bo spодziewałem się, że będzie podpisywał dużo mniej ustaw i daleko ostrzej organizował opór przeciwko rządowi, łącznie z publicznymi wezwaniami do demonstracji ulicznych. Na razie Nawrocki tego nie robi. Najwyraźniej trochę go rozczarowało, że nie ma „efektu Nawrockiego” w notowaniach prawicy, bo kiedy spojrzymy na to, co się wydarzyło w sondażach po wyborach prezydenckich, to nie ma sytuacji, w której partia, która go wysunęła, jest liderem sondaży, zyskała na tym, co zresztą doprowadziło do wewnętrznych perturbacji w PiS-ie. Z drugiej strony nie widać też, żeby było pozostałym partiom prawicowym. Owszem, Korona Brauna wzrosła, ale głównie kosztem Konfederacji Mętna i Bosaka oraz PiS-u. Kiedy zsumuje się to poparcie to ono oscyluje w okolicach czterdziestu paru procent, a nie pięćdziesięciu kilku, na co liczyła pra-

wica. Z kolei po drugiej stronie Donald Tusk przeszedł ten pierwszy kryzys po klęsce Trzaskowskiego i tak naprawdę okazało się, że głównymi ofiarami tej klęski, co jest zabawne, nie jest Koalicja Obywatelska, tylko ci mniejsi gracze z Polską 2050 na czele i w mniejszym stopniu z PSL-em. W związku z tym finał tego jest taki, że dzisiaj Tusk może się czuć uspokojony, bo Koalicja Obywatelska w kolejnych sondażach przewodzi. Jest tylko jeden mały problem, który nazywam „pułapką Kaczyńskiego”. Mianowicie jak te wszystkie sondaże, które mamy od połowy ubiegłego roku do teraz przełożymy na mandaty, to jasno z nich wynika, że Koalicja Obywatelska nie będzie miała z kim zawrzeć koalicji, żeby utrzymać się przy władzy i będzie miała sytuację podobną do dzisiejszej PiS-u, który ma największy klub w Sejmie, ale nie rządzi. Dlatego nazywam to „pułapką Kaczyńskiego”, w następnej kadencji może w nią wpaść Tusk.

Mam takie odczucie, ale potwierdzają to też sondaże, że Polacy są już tą wojną mocno zmęczeni.

I tak i nie. Wiem, że są zmęczeniu. Natomiast z drugiej strony proszę zwrócić uwagę, że jak przyszło co do czego, to do II tury wyborów prezydenckich weszli kandydaci obu głównych partii, czyli ci, którzy tę polaryzację organizują. Jeżeli Polacy chcieliby naprawdę depolaryzacji, to w II turze - już nie mówię, że nie byłoby ani kandydata PiS-u ani Platformy,

bo to jest w ogóle niewyobrażalne - ale przynajmniej jednego z nich by nie było, a byli obaj. Więc z tego punktu widzenia niby są zmęczeni, ale większości tak jest zapisana do klubu Koalicji Obywatelskiej albo do klubu PiS-u.

Mówię, że są zmęczeni wojną prezydent-rząd, dlatego że prezydent nie podpisał kilku ustaw, które ludziom wydają się ważne mimo wszystko.

Powiem tak: spodziewałem się, że Nawrocki nie podpisze jeszcze większej liczby ustaw. A to, że części ludziom te ustawy wydają się ważne, cóż, mogą im współczuć. Natomiast realia są takie, że żeby podsycać proces polaryzacji, trzeba nieustannie wytwarzać nowe konflikty. I prezydent świetnie się w roli polaryzatora odnajduje i w związku z tym nie będzie podpisywał kolejnych ustaw właśnie w sprawach ważnych. Niepodpisanie przez niego jakiegś szczegółowej nowelizacji ustawy w sprawie, której 99 procent ludźmi nie rozumie, nie ma znaczenia, ale jak zawetuje na przykład ustawę łańcuchową, to każdy rozumie, że chodzi o to, czy pies ma być na łańcuchu, czy nie. Więc oczywiste jest, że będzie wetoował głównie ustawy, które odbijają się pewnym rezonansem społecznym. Spodziewam się kolejnych tego typu posunięć.

Myśli pan, że to koniec Polski 2050?

Myślę, że tak, że tego projektu, niezależnie od tego, kto ostatecznie zostanie liderem czy liderką, nie da się już uratować

w rozumieniu takim, że ta formacja nie wejdzie samodzielnie do następnego Sejmu. Oczywiście trzydziestu posłów może jeszcze jakiś czas tworzyć klub Polski 2050, zanim się rozejdą do innych formacji, głównie do Koalicji Obywatelskiej. Natomiast moim zdaniem to jest już masa upadłościowa, która wszakże może być poddana procesowi sanacji w ramach innego projektu politycznego.

Do wyborów mamy jeszcze dwa lata....

Już mniej. Chcę zauważyć, do wyborów mamy niewiele ponad półtora roku.

Myśli pan, że te sondaże się mocno zmieniają w ciągu tego półtora roku?

To jest pytanie, na które nikt nie zna odpowiedzi. Kluczem będzie sytuacja gospodarcza przede wszystkim. Jeśli będzie się utrzymywać ta relatywnie dobra koniunktura, wtedy szanse na zmianę są mniejsze. Jeśli będzie się koniunktura pogarszała, czy wręcz pojawi się recesja, nastroje natychmiast się pogorszą i wiadomo, że to Koalicja Obywatelska będzie za to płacić. Z drugiej strony mamy czynnik międzynarodowy, nie wiemy, co się stanie, jak wpłynie na nastroje ewentualny rozejm na Wschodzie, bo to też jest możliwe. Nie wykluczam, że to też może Koalicji Obywatelskiej zaszkodzić, bo wtedy osłabnie to, co się nazywa efektem flagi. I część ludzi uzna, że właściwie nie ma już zagrożenia ze Wschodu, to może niech PiS wróci do władzy, skończy się awantura między

premierem a prezydentem, bo będzie pisowski albo konfederacki i z Nawrockim natychmiast się dogada. Taki argument na pewno będzie PiS używał w kampanii, że trzeba skończyć tą wojnę polsko-polską, żeby to było kompatybilne, a z kolei Koalicja Obywatelska będzie mówiła, że grozi nam legendarne domknięcie systemu, którym PiS straszył przed poprzednimi wyborami. Teraz Koalicja Obywatelska będzie mówiła, że cała władza przejdzie w ręce prawicy i w związku z tym trzeba temu zapobiec.

Konfederacja zadecyduje, kto będzie rządził?

Na dziś tak to wygląda. Przy czym pamiętajmy, że Konfederacja nie jest jedną partią, tylko zlepkiem, ta główna Konfederacja dwóch partii i tak naprawdę może się zdarzyć, że ona nie przetrzyma tego wyboru komu dać pałeczkę. Widzę, jak ci główni gracze na polskiej scenie politycznej ruszyli na podbój Konfederacji, bo z jednej strony Kaczyński nie przez przypadek ma ciężką wojnę z Mętnym, a chwali Bosaka, a Tusk raczej odwrotnie - powołuje się już na Mętną, próbuje się do niego uśmiechnąć. Wprawdzie Mętny tych załotów nie przyjmuje, ale ewidentnie w otoczeniu Tuska są nadzieje, że uda się wyrwać tę liberalną gospodarczo część Konfederacji i przyciągnąć do partii Tuska. Czy to jest realne? Tego nie wiem. Wiem tylko, że Konfederacja będzie poddawana, zwłaszcza po wyborach, ogromnemu naciskowi z obu stron: i pisowskiej i Koalicji Obywatelskiej.

Chyba że lewica urośnie w siłę albo ludowcy się jakoś odbudują.

Ludowcy muszą się w ogóle odbudować, żeby przetrwać. Natomiast oni się raczej nie odbudują na poziomie kilkunastu procent poparcia. To jest moim zdaniem nierealne. Oni będą walczyć o to, żeby w ogóle być w następnym Sejmie. Natomiast jeśli chodzi o lewicę, to nie widzę powodów, dla których Czarzasty miałby ją odbudować, bo on jest bardzo zręczny w takich zakulisowych grach, ale to się nie przekłada na popularność Nowej Lewicy i tej popularności nie będzie, dlatego że przyszłość lewicy to młodzi wyborcy, zwłaszcza młode kobiety. Jakoś nie widzę, żeby one szalały za Czarzastym. Z kolei partia Razem na razie ciągle nie może pokonać progę wyborczego, choć myślę, że ma szansę go przeskoczyć, ale nic ponad to.

Czyli ciekawe półtora roku przed nami.

Zdecydowanie tak. Zawsze w polskiej polityce dzieje się coś ciekawego.

Rok Trumpa. Czy w tym szaleństwie jest metoda?

Mało dyplomatyczne słowa pod adresem różnych krajów i ich przywódców, dziwne wpisy w social mediach, kontrowersyjne zachowania w obecności innych – to, co w pierwszej kadencji Donalda Trumpa zdarzało się raz na jakiś czas, w tej jest codziennością. Czasem można odnieść wrażenie, że Trump sobie ze wszystkimi pogrywa, wzbudzając ogromne emocje. Emocje zaś nigdy nie są dobrym doradcą. Stąd ważniejsze jest to, co Trump (i jego administracja) robią, a nie mówią

Grzegorz Kuczyński

We wtorek, 20 stycznia minął rok od ponownego objęcia urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych przez Donalda Trumpa. Jak go ocenić w kontekście zwłaszcza polityki międzynarodowej? Cóż, po prostu wszedł na światowe salony z drzwiami.

Wojny celne, operacje wojskowe w Iranie i Wenezueli, no a teraz awantura o Grenlandię. Za to wojny Rosji z Ukrainą nie zakończył – choć sprawił, że to był najważniejszy dyplomatyczny temat roku. Do tego groźby pod adresem paru krajów

Ameryki Łacińskiej i największy kryzys w historii relacji euroatlantyckich zapoczątkowanych II wojną światową i pogłębionych w okresie zimnej wojny. Przy tym wszystkim ciągłe zmiany zdania (choćby w ocenie gotowości do pokoju Putina i Zełenskiego). Czy ten chaos jest kontrolowany, czy wynika z osobowości Trumpa? I co w efekcie przyniesie światu?

Wszystkie wojny Trumpa

Prezydent USA nieustannie przypomina, że od momentu powrotu do Gabinetu Ovalnego „zakończył osiem wojen”, choć

tak naprawdę część z nich wcale się definitywnie nie zakończyła, vide Tajlandia vs Kambodża, Rwanda vs Demokratyczna Republika Konga czy Izrael vs Iran.

Być może Trump uważa państwowe zawieszenie broni w Strefie Gazy za swoje największe osiągnięcie. Według niego Waszyngtonowi udało się zaprowadzić pokój na Bliskim Wschodzie – po raz pierwszy „od trzech tysięcy lat”. Jednak pomimo formalnego obowiązywania rozejmu, przejście do fazy politycznej uregulowania konfliktu utknęło w martwym punkcie.

Trump nie zdołał przede wszystkim zrealizować swojego

głównego celu w polityce zagranicznej, czyli zakończenia konfliktu na Ukrainie. Podczas kampanii wyborczej oświadczył, że położy kres wojnie jeszcze przed inauguracją, a nawet „w ciągu 24 godzin” (później jednak wyjaśnił, że była to celowa przesada). Obecnie przyznaje, że konflikt okazał się trudniejszy, niż sądził podczas kampanii wyborczej, i kolejno wyraża niezadowolone z Moskwy, a potem z Kijowa, oskarżając je o zerwanie rozmów pokojowych.

Trump nie ukrywał chęci otrzymania Pokojowej Nagrody Nobla za swoje wysiłki na rzecz pokoju. Jednak nagroda trafiła

do liderki wenezuelskiej opozycji Marii Coriny Machado. Według Trumpa laureatka poinformowała go, że przyjęła nagrodę na cześć amerykańskiego prezydenta. – To bardzo miłe. Nie powiedziałem jej, żeby mi ją oddała, chociaż myślę, że mogła to zrobić – dodał. Podczas wizyty w Waszyngtonie w styczniu Machado postąpiła właśnie tak – podarowała swoją medal prezydentowi USA.

Pokaz siły Ameryki

Zresztą to właśnie Wenezuela można na pewno umieścić na liście rzeczywistych sukcesów Trumpa. Amerykańskie siły

zbrojne przeprowadziły 3 stycznia ataki na strategiczne obiekty w Caracas i innych regionach kraju. Dyktator Nicolas Maduro i jego małżonka zostali schwytani przez siły specjalne i przetransportowani do Nowego Jorku, gdzie zostaną osądzeni.

Pomimo przedwyborczej obietnicy Trumpa, że nie rozpocznie „żadnych nowych wojen”, operacja w Caracas nie jest jedyną akcją zbrojną jego administracji. W czerwcu Stany Zjednoczone dołączyły do izraelskich ataków na irańskie obiekty jądrowe. Na początku stycznia sam Trump zagroził atakiem na Islamską Republikę z powodu

AKCJA SPECJALNA ŚWIEĆ SIĘ

0111461217

„Świeć się z Energią”. 16 miast weszło do drugiego etapu plebiscytu - wszyscy wspieramy potrzebujących!

Świąteczny blask jeszcze nie gaśnie - światło, które w grudniu wypełniało nasze domy i miasta, wciąż tworzy wyjątkowy klimat na rynkach i ulicach - i będzie nam towarzyszyło aż do lutego. To właśnie ono połączyło mieszkańców w pierwszym etapie charytatywnej akcji „Świeć się z Energią”. Regionalna runda głosowania dobiegła końca, poznaliśmy zwycięzców i wiemy, gdzie trafią nagrody. Ale to nie koniec - emocje rosną. Czekamy na wielki finał!

Miasta, które w swoich województwach zdobyły największe poparcie, otrzymają bony o wartości 10 tysięcy złotych na zakup energooszczędnego sprzętu AGD. Trafi on tam, gdzie jest najbardziej potrzebny. Wszyscy „regionalni” zwycięzcy będą bardzo potrzebowali Waszego wsparcia. Oto oni:

- województwo lubuskie - Wschowa
- województwo dolnośląskie - Kąty Wrocławskie
- województwo warmińsko-mazurskie - Pieniężno

- województwo mazowieckie - Starożreby
- województwo wielkopolskie - Wapno
- województwo opolskie - Głogówek
- województwo lubelskie - Chełm
- województwo łódzkie - Sulejów
- województwo małopolskie - Kalwaria Zebrzydowska
- województwo zachodniopomorskie - Szczecinek
- województwo śląskie - Skoczów
- województwo pomorskie - Stare Pole
- województwo kujawsko-pomorskie - Grudziądz
- województwo podlaskie - Dąbrowa Białostocka
- województwo świętokrzyskie - Starachowice
- województwo podkarpackie - Leżajsk

Które miasto zostanie Świąteczną Stolicą Polski?

W finałowym etapie plebiscytu rozstrzygnie się, która miejscowość zachwyci najpiękniejszą świąteczną iluminacją i zdobędzie



dodatkowe 50 tysięcy złotych na pomoc potrzebującym. Już w piątek - 23 stycznia - rozpoczniemy decydujące głosowanie. Wspierajcie swoją miejscowość, głosujcie też na sąsiadów w regionie!

Nagrody to pomoc, która trafi do osób w potrzebie

Nic dziwnego, że plebiscyt miast od lat cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Rywalizacja stała się świątecznym zwyczajem, ale jej prawdziwa siła



tkwi w pomaganiu. Dzięki wspólnemu zaangażowaniu energooszczędne sprzęty: lodówki, pralki, zmywarki czy roboty kuchenne trafiają do rodzin, seniorów, dzieci, hospicjów i placówek opiekuńczych. Każdy samorząd ma swój cel, a my możemy pomóc go osiągnąć. Wystarczy kilka kliknięć - 10 bezpłatnych głosów każdego dnia. Zachęcajcie do tego innych, bądźcie ambasadorami dobra. - „Świeć się z Energią” buduje



wspólnotę, wzmacnia lokalne więzi i przypomina, że w świątecznym czasie szczególnie warto być razem i pomagać innym. Plebiscyt budzi też lokalny patriotyzm. Każdy chce pokazać swoje miejsce w świątecznym blasku. Ale sens jest głębiej. Gdy miasto wygrywa, wsparcie trafia do potrzebujących. Przez ponad 15 lat przekazaliśmy już pomoc o wartości ponad 2 milionów złotych. To piękna, wspólna energia. I bardzo



Energia | GRUPA RLEN

konkretna dobroczynność. Jako Energia i Fundacja Energia robimy oczywiście dużo więcej, bo Energia włącza dobroczynność i prospołeczne działania przez cały rok - przypomina Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

„Świeć się z Energią”. Nasze wspólne pomaganie

- 23 stycznia rozpocznie się finałowy, ogólnopolski etap plebiscytu, w którym wezmą udział zwycięzcy etapów regionalnych, - 6 lutego to dzień finałowego głosowania ogólnopolskiego - wtedy też poznamy wyniki.



FOT. TREX FEATURES/EAST NEWS

Trump nie zdołał przede wszystkim zrealizować swojego głównego celu w polityce zagranicznej, czyli zakończenia konfliktu na Ukrainie

brutalnego stłumienia antyrządowych protestów. Jednak potem oświadczył, że zabójstwa protestujących ustały i dlatego „przekonał się” do powstrzymania wojskowych. Niemniej wysłał na Bliski Wschód grupę uderzeniową na czele z lotniskowcem USS Abraham Lincoln.

Czy w ten sposób Trump złamał dane słowo, że USA nie będą rozpoczynać nowych wojen? Itak, i nie. Tak, Amerykanie użyli siły, ale były to operacje bardzo krótkie, z nikłym narażeniem życia żołnierzy i nikłą liczbą ofiar

cywilnych, za to dość skuteczne. Trump nie powtarza błędów poprzedników (Irak, Afganistan) – i choć jego chaotyczne wypowiedzi sugerować mogą brak strategii, należy zauważyć, że uderza tylko tam i wtedy, gdzie ma niemal pewność odniesienia zwycięstwa. Nie podejmuje zbędnego ryzyka.

Kij i marchewka Trumpa

Łatwiej grozić użyciem siły, niż jej użyć. Zwłaszcza gdy mowa o sojusznikach. Zresztą wydaje się, że Trump nie dzieli

świata na sojuszników, wrogów i tych „neutralnych”, ale na to, z kim można zrobić deal, a z kim nie. Priorytetem jest więc wymuszanie korzystnych dla USA warunków takiego układu. Takie biznesowe podejście do polityki zagranicznej widać szczególnie na przykładzie wojen celnych i sankcji, używanych nie tylko wobec Chin, Rosji czy Wenezueli, ale też UE czy Indii. Ale największe emocje budzi pragnienie Trumpa, żeby zdobyć Grenlandię. I jak to on, w negocjacjach używa nie tylko mar-

chewki (setki miliardów dolarów), ale też kija (opcja militarna).

Wracając do tej kwestii po powrocie do Białego Domu, Trump najpierw ponownie zaproponował zakup, a następnie wezwał Grenlandczyków do odłączenia się od Danii. Następnie temat ucichł i ponownie pojawił się w przestrzeni publicznej dopiero na początku 2026 roku. Tym razem Trump stwierdził, że Dania nie jest w stanie chronić wyspy przed roszczeniami Chin i Rosji, publicznie podważając suwerenność królestwa: „Fakt, że 500 lat temu wyładowali tam łodzia, nie oznacza, że są właścicielami tej ziemi”.

W odpowiedzi osiem państw europejskich wysłało swoich żołnierzy do Grenlandii, aby wzięły udział w ćwiczeniach. Trump ogłosił wprowadzenie 10-procentowych dodatkowych ceł wobec tej ósemki i zagroził, że w przypadku dalszego sprzeciwu wobec przyłączenia Grenlandii do Stanów Zjednoczonych cła wzrosną od czerwca do 25%. Wszystkie osiem państw wydało wspólne oświadczenie, ostrzegając, że groźby celne podważają stosunki transatlantyckie i stwarzają ryzyko „niebezpiecznej spirali spadkowej”.

Prezydent Francji Emmanuel Macron zaproponował również wykorzystanie unijnego instrumentu przeciwdziałania presji gospodarczej, który w Unii Europejskiej nazywany jest „han-

dlową bazooką”. Tymczasem Trump nie wyklucza, że w celu przyłączenia Grenlandii może podjąć działania wojskowe: zwrócił się do premiera Norwegii i oświadczył, że ponieważ nie został uhonorowany Nagrodą Nobla, nie czuje się „zobowiązany do myślenia wyłącznie o pokoju”.

Hamlet, polaryzacja i emocje

Problem z oceną Trumpa polega przede wszystkim na tym, że większość jego apologetów i krytyków kieruje się emocjami, a nie chłodną analizą. Czasem można odnieść wrażenie, że co by prezydent USA nie zrobił, to jedni zawsze znajdą w tym plusy, a drudzy minusy. Zresztą można się było tego spodziewać, bo postać Trumpa niezwykle mocno polaryzuje właściwie od początku jego pierwszej kadencji. W drugiej, swymi wieloma wypowiedziami i działaniami, amerykański przywódca jedynie pogłębił i utrwalił ten podział.

Z emocji zaś wynika również skupianie się na faktycznie nie tak ważnych sprawach, a pomijanie tych mówiących o polityce USA więcej, niż kolejna tyrada dużymi czcionkami w równoważnikach zdań na Social Truth. Dotyczy to zarówno rzeczy, które należy oceniać pozytywnie (kolejne naftowe sankcje boleśnie uderzające w Rosję), jak i negatywnie (rzucenie na pożarcie no-

wemu syryjskiemu reżimowi Kurdów, bez których dowodzona przez USA koalicja międzynarodowa nie ścięłaby łba bestii zwanej Państwem Islamskim).

Dlatego na pełną ocenę polityki Trumpa jest jeszcze za wcześnie. Należy punktować zło z naszego punktu widzenia decyzje, wskazywać zagrożenia płynące z niepoahamowanych ambicji egocentryka zasiadającego obecnie w Białym Domu, ale też nie robić z niego zła wcielonego i dostrzegać, tudzież chwalić ruchy pozytywne. Wydaje się, że jedno i drugie wynikają z tego, jak Trump postrzega świat i rolę w nim Stanów Zjednoczonych.

Sam wielokrotnie argumentował, że pokoju nie można osiągnąć poprzez słabość lub podobne życzenia, ale poprzez siłę. Nie jest to wezwanie do lekkomyślnego interwencjonizmu lub nieustannej wojny. Jest to powiedzenie głośno tego, co wiedzą wszyscy, ale z różnych powodów nie mówią: odstraszenie działa tylko wtedy, gdy przeciwnicy wierzą, że konsekwencje są realne, wiarygodne i nieuniknione. Więc może jednak do brutalnej polityki Trumpa pasują słowa Poloniusza w szekspirowskim Hamlecie: „choć to szaleństwo, lecz jest w nim metoda”. Oby tylko ta metoda przynosiła więcej korzyści niż szkód. Nie tylko Stanom Zjednoczonym, ale całemu wolnemu światu.

REKLAMA

0011458925



Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



**3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego**



Konsultacja lekarska



**4 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)**



**90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

5 POWODÓW, DLA KTÓRYCH WARTO WPLACAĆ NA WOŚP

Wrzucając do puszki w niedzielę, 25 stycznia, pomagamy nie tylko dzieciom, ale i nam samym

Szymon Paź

Często w życiu jest tak, że dopiero jak kogoś dotknie problem chorobowy, to zaczynamy go rozwiązywać - zaczynamy badać siebie profilaktycznie, rzucamy palenie, mimo że przez 30 lat ktoś nas o to prosił. Gdy zobaczymy, że na tym nowym sprzęcie w szpitalu jest serduszko Wielkiej Orkiestry, to może zrozumiemy, jak fantastyczna to akcja - mówi prof. Ewa Wender-Ożegowska, krajowa konsultantka w dziedzinie położnictwa i ginekologii, pracująca na co dzień w największym wielkopolskim szpitalu położniczym przy ulicy Polnej.

Ratujemy wszystkie dzieci

Orkiestra od 1993 r. gra na rzecz poprawy stanu zdrowia i ratowania życia. Sprzęt od niej trafił w dziesiątkach tysięcy sztuk do setek szpitali w całym kraju. Dochód z niemal każdego finału przeznaczano w szczególności na opiekę medyczną i ratowanie życia dzieci.

- Jest wiele dzieci, które wiedzą, że były uratowane przez ten sprzęt i teraz chodzą z puszkami i zbierają pieniądze dla WOŚP, bo ich rodzice uważali, że należy tym dzieciom o tym powiedzieć. Są też dzieci, które do tej pory nie musiały z niego korzystać. Bez Orkiestry być może nie wiedziałyby, że mogą taką pomoc komuś dać... - mówi prof. Wender-Ożegowska.

Orkiestra pomaga dzieciom na każdym etapie ich życia - dzięki urządzeniom zakupionym przez WOŚP lepszą opieką objęte są już kobiety w ciąży. Prof. Wender-Ożegowska współkoordynuje w Poznaniu program pomp insulinowych dla pacjentek z cukrzycą, dzięki którym m.in. eliminuje się powikłania u płodu wynikające z cukrzycy typu I u matki. Orkiestra zbierała na diagnostykę u noworodków i niemowląt, sprzęt do ratowania życia wcześniaków, dzieci z wadami serca, chorobami nerek, chorych na raka czy ofiar wypadków.

Każdy korzysta z urządzeń WOŚP

Pompy insulinowe to tylko jeden z elementów, który nie służy tylko i wyłącznie zdrowiu dzieci,

ale też ich matek. Tak jak pomagają im badania prenatalne na sprzecie zakupionym przez WOŚP i inne rozwiązania pomocne w leczeniu najmłodszych. Ale to niejedyna grupa pacjentów i ich rodzin, która korzysta ze sprzętu zakupionego przez fundację.

WOŚP grywał też z myślą o seniorach, dbając o godną opiekę medyczną także dla nich. W 2023 r. celem była walka z sepsą „małych i dużych”, a w 2024 r. - zakup urządzeń dla oddziałów chorób płuc dla dzieci i dorosłych. Karetkami zakupionymi przez fundację dla szpitali wożeni są wszyscy pacjenci.

- Nikt nie pyta pacjentki czy pacjenta - nowo narodzonego dziecka czy starszego człowieka - leżących na łóżku od Orkiestry, bądź leczonego sprzętem zakupionym przez Orkiestrę, czy on tę orkiestrę wspierał. To nie ma żadnego znaczenia. Każdy pacjent dostaje albo korzysta bezpośrednio lub pośrednio z tego, co zostało zakupione przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy - podkreśla prof. Wender-Ożegowska.

Jeśli ze sprzętu zakupionego ze zbiórki WOŚP nie skorzysta Twoje dziecko lub Ty sam, być może skorzysta mąż lub żona,

matka lub ojciec, siostra lub brat, lub ktoś inny Ci bliski.

Zaangażowane są miliony Polaków

Za pomocą, która trafia do polskich szpitali, stoi około 40 pracowników fundacji, około 130 tysięcy wolontariuszy zaangażowanych w zbiórkę pieniędzy i organizację finałów WOŚP oraz miliony Polaków i obcokrajowców, którzy wrzucają pieniądze do puszek, przelewają je na konta fundacji, biorą udział w specjalnych akcjach charytatywnych (m.in. biegach) czy wlicytacjach.

- W mojej ocenie to, co robi Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w Polsce, to jest coś niebywałego. Ten zapał Jurka Owsiaka, że on potrafi przez lata do tej akcji zachęcić, potrafi poruszyć miliony ludzi nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, które chcą wspierać tę akcję charytatywną, jest czymś niebywałym, niepowtarzalnym - mówi prof. Wender-Ożegowska.

Oczywiście w Orkiestrę nie są zaangażowani wszyscy. Etyki filozof z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. Przemysław Rotengruber, tłumaczy, że to naturalne. Mamy powody, by nie brać udziału,

mamy powody wątpić czy warto.

- Po pierwsze, zwykle skąpstwo - zastanawiamy się, czy zatrzymać dla siebie, czy dać drugiemu. Po drugie - wielu z nas - także ja, choć niekoniecznie w przypadku Owsiaka - zastanawia się, czy nas ktoś nie naciąga, „nie robi w trąbę”; czy to rzeczywiście oddolne społeczne działania, które w ostatecznym rozrachunku przełożą się na dobro ludzi potrzebujących. Po trzecie, polityka i propaganda - Jerzego Owsiaka część po prostu nie lubi - taką osobą łatwo obsmarować i odsądzić od czci i wiary. Łatwo sformułować wobec niej zarzuty, a nawet jeśli z czasem okażą się niesłuszne, to trudno jej się od nich odkleić.

Potrzeby nigdy się nie kończą

Wielu może uważać, że wraz ze wzrostem gospodarczym potrzeby służby zdrowia będą w większym stopniu zaspokajane przez państwo, a niekoniecznie przez WOŚP. Tymczasem Jerzy Owsiak zapowiada, że Orkiestra będzie grać „do końca świata i jeden dzień dłużej”.

- Medycyna rozwijała się w sposób niebywały. Ale za tym idą koszty. Pewne terapie, bada-

nia, diagnostyka są niesamowicie drogie. Podobnie jak nowy sprzęt, a przecież ten kupiony dwadzieścia lat temu trzeba wymienić, więc dlatego Orkiestra musi działać do końca świata... Myślę, że żaden system służby zdrowia nie jest w stanie tego w pełni pokryć dla każdego, więc potrzeba takich działań jest ogromna - tłumaczy prof. Wender-Ożegowska.

Część środowisk politycznych dystansuje się od zbiórki, wskazując, że WOŚP robi to, co powinno robić państwo.

- Nie dziwię się tym, którzy pytają samych siebie i polityków, dlaczego państwo nie wywiązuje się ze swoich ustawowych obowiązków - mówi prof. Rotengruber. - To woda na młyn dla populistów, polityków i wszelkiej maści cwaniaków, którzy wołają, żeby to była kolejna społeczna zrzutka, niż cel realizowany przez państwo. Ale praktyka codzienna, polityczna, wskazuje, że państwo z takich czy innych powodów i tak nie sfinansuje pewnych celów. Cóż, to nie jest instytucja, w której wszystko zawsze działa. W związku z tym mamy taki wybór - możemy nawzajem sobie pomóc albo nie zrobić tego wcale.

Wtórkuje mu profesor Wender-Ożegowska: - Organizacje charytatywne na całym świecie działają od lat; mają różne cele, stawiają sobie różne zadania, ale zawsze uzupełniają pewne niedostatki systemu. Nikt z nas nie ma wątpliwości, że WOŚP pomaga w funkcjonowaniu służby zdrowia. Ale to coś wspaiałego, że ludzie jednoczą się wokół tej idei i mają taką potrzebę, by choć raz w roku rzeczywiście coś od siebie dać komuś, komu to może będzie potrzebne.

Dzielenie się to elementarna dobroć

Właśnie na tę pomoc wzajemną zwraca uwagę etyki i filozof. Łatwo nam udzielić pomocy licząc, że będziemy mogli liczyć na wzajemność. Tymczasem nas zdaniem orkiestra wynosi nas na nieco inny, wyższy poziom.

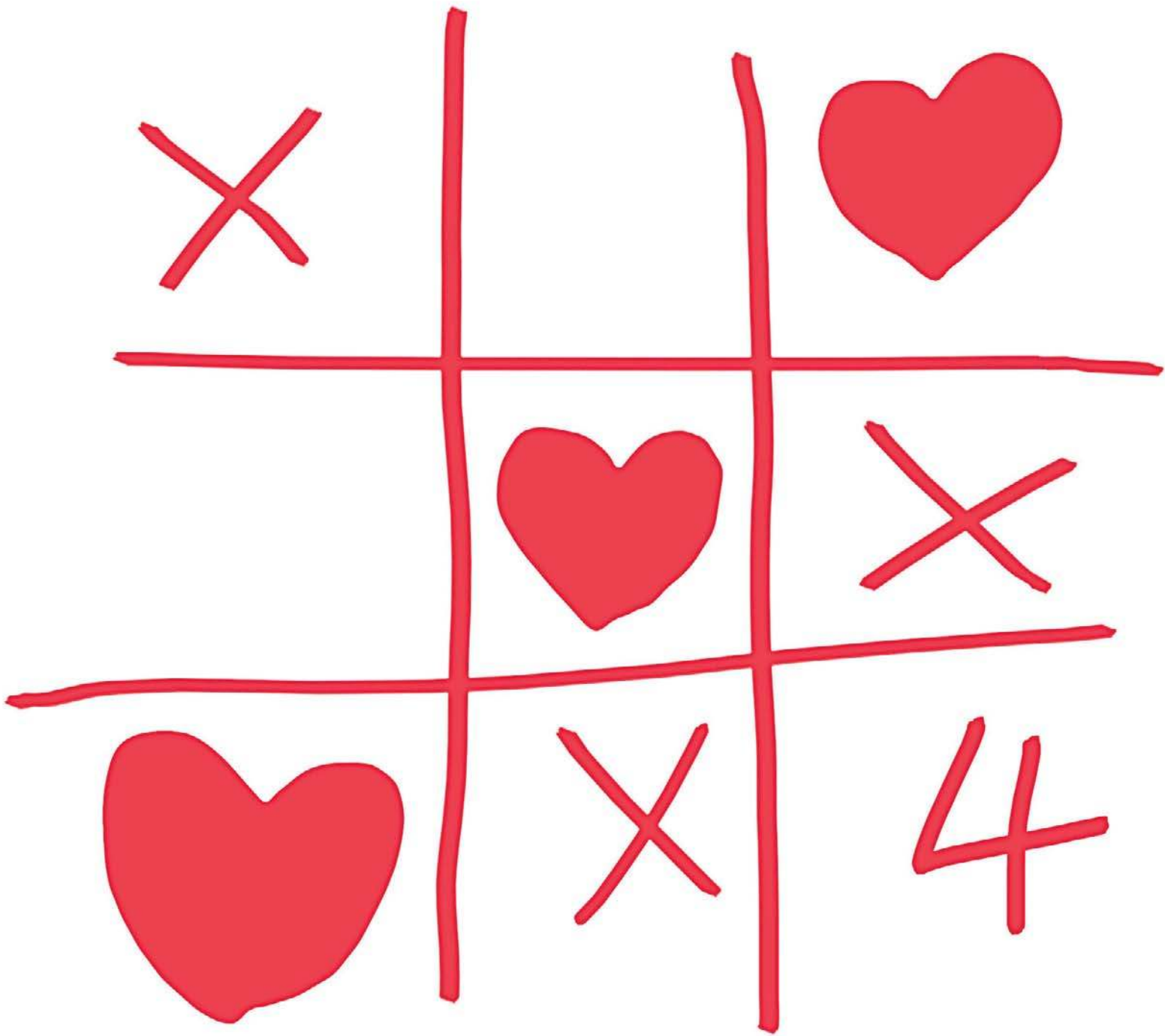
- Wielu teoretyków, w tym mój ukochany mistrz i przewodnik, Jürgen Habermas, twierdzi, że miarą dojrzałości społecznej jest zdolność członków tego społeczeństwa do podejmowania wyzwań bezinteresownych - mówi prof. Rotengruber. - Zawsze warto pochylić się nad potrzebami innych; mieć na względzie dobro tych, którzy chwilowo nie z własnej winy znaleźli się pod wozem. Tak to już jest z nami, że raz na wozie, raz pod wozem. Jeśli nie będziemy wrażliwi na potrzeby drugiego człowieka - tak na co dzień, spontanicznie - to musimy liczyć się z tym, że będzie to oczywistym uzasadnieniem dla tych, którzy w podobnych okolicznościach nam odmówią pomocy. Jeśli więc porzestaniemy tylko na wzajemności, to ta może nas zniszczyć.

- Nie ukrywam, że zajęło mi chwilę, żeby się do Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy ostatecznie przekonać. Ale na koniec jest trochę jak u Sokratesa: człowiek, kiedy zrobi coś dobrego, ma poczucie takiej wewnętrznej, psychologicznej nagrody. Dostaje w zamian coś, co można nazwać poczuciem spełnienia, satysfakcji. Tak właśnie z nami jest: czujemy się dobrze, że zrobiliśmy to, co należało zrobić w danych okolicznościach - mówi polski etyk.



Dochód z niemal każdego finału przeznaczano na opiekę medyczną i ratowanie życia dzieci

FOT. LUKASZ GDAK



PULS
#200

Graj z WOŚP 34 raz

Alicja Polewska

MUSISZ



Nie!!! Nie muszę. Nie muszę. Nie muszę. Uff, ulżyło.
- Tak?! Nie musisz? - odezwało się moje drugie ja. - Jesteś pewna? A rano to niby co powiedziałaś, kiedy zaterkotał budzik: muszę wstać! I co?
- Oj, to tylko takie powiedzenie - odparło pierwsze ja.
- Taaa, jasne. A za chwilę było coś o tym, że musisz wypić kawę i wyprasować bluzkę - drugie ja nie ustępowało.
- Czepiasz się: kawa rano to przecież standard, a nie mus. I nie pójdę do roboty w pogniecionej bluzce przecież - pierwsze ja jeszcze odpowiada spokojnie, ale...
- I do tej roboty też nie musisz, co? - prychnęło drugie.
- No... - pierwsze wzięło głęboki oddech. - Chcę, więc muszę! - wybrnęło.
- Ha, widzisz, nie musisz się oszukiwać, że nie musisz! - zatryumfowało drugie moje ja.
Zastanawialiście się, ile razy w ciągu dnia mówicie „muszę”? Właściwie wszystko musimy: wyjść, zjeść, obejrzeć, kupić, spróbować, wyjechać... Żyjemy w świecie dobrowolnego przymusu.
Latem - mus jechać nad morze, a zimą - w góry. I to nawet jeśli skręca nas od zapachu smażonej ryby, a narty to dla was boazeria. Do tego te wszystkie „must have” z najnowszej kolekcji popularnej sieciówki ubraniowej czy urządzania wnętrz. Kolory paznokci i włosów, kroje spodni czy kształt obcasów. Marka auta. Model telefonu. Trendy to nic innego jak „musiki”, więc nie ma to tamto, tylko: muszę to mieć.
Energia podąża za uwagą, więc kiedy mówimy „muszę”, to zwyczajnie ten przymus czujemy w sobie i nie ma wyjścia - trzeba „cel” zrealizować. Iść. Kupić. Przejrzeć. Odpisać. Wyjechać. Wrócić.
Standard, prawda?
- No już dobra, daj sobie trochę luzu - drugie ja znowu nadaje.
- Nie musisz mi tego mówić, wiem przecież - odpowiada złośliwie pierwsze ja.
- Muszę, muszę - takie życie.

Adam Bula

BAWMY SIĘ TRUMPSEM BAWIĄCYM SIĘ ŚWIATEM. TYLE MOŻEMY



Proponuję, by za każdym razem, gdy ktoś chce coś powiedzieć o Donaldzie Trumpie, przypomnieli sobie najpierw całkiem niezły film „Rozgrywka” Franka Oza z 2001 r. Chodzi mi o to, że im lepiej Edward Norton udawał tam upośledzonego idiotę (a zagrał to fenomenalnie), tym łatwiej szło mu oszukiwanie i okradanie wszystkich.
Więc niepokoją mnie nasi tzw. poważni publicyści, którzy, mówiąc o prezydencie USA, stawiają diagnozy za pomocą określeń typu: szaleniec, klaun czy głupek. Poza sporem jest, że stand-uperskie występy Trumpa mogą w Europie nadal szokować. Chociaż może tylko tych, którzy nie śledzą dokładnie twórczości naszych rodzimych „naśladowców” z PiS-u lub kancelarii prezydenta.
Że mu się 3 razy pomyliła Grenlandia z Islandią? No sorry, ma tak z 90% jego rodaków, którzy w dodatku myślą pewnie, że obie wyspy leżą zaraz koło Australii. Że opowiada piramidalne bzdury o wiatrakach w Chinach - przecież w prawicowym populizmie spod znaku MAGA fakty nie mają znaczenia. Że ustawicznie manipuluje rzeczywistość, miesząc wszystko ze wszystkim w niemożliwych do opanowania dygresjach? To posłuchajcie Morawieckiego opowiadającego, że to on przez lata bronił rolników przed umową Mercosur (będąc za), a umowa wchodzi w życie przez Tuska (który głosował przeciw). Klasyka.
Że to wszystko utopione jest w aroganckim, bucowatym w sumie sosie - no nie jest to eleganckie, ale każdemu by trochę odjechał dekiel, gdyby wierzył, że jest królem świata. A akurat Trump ma nadal najbliżej, by w taką wizję uwierzyć.
Patrzmy zatem na występy prezydenta USA jak na popisy komika i bawmy się jego nowymi dowcipami, które - jak to dowcipy - nie wszystkich muszą śmieszyć (zbrojna inwazja na Grenlandię czy 200% cła na francuskie szampany). To, co jest na poważnie, zawsze jest pod spodem. To tylko taka taktyka negocjacyjna, gdy do pokoju wpada największy osiedlowy osiłek i woła: jestem najsilniejszy, oddajcie mi swoje mieszkania, a kończy się tym, że reszta zrzuca się dla niego na lepsze piwo.
Iniczy tu nie bagatelizuję. Mówię tylko, że nie ma sensu przykładać wielkiej wagi do specyfiki amerykańskich obyczajów dworskich, a skoro i tak jesteśmy na ten spektakl skazani, to raczej się cieszymy jego surrealistycznym urokiem niż martwimy próbą rozumienia go literalnie.
Bo to, co leży już literalnie na stole, jest wystarczająco groźne i dociera wreszcie także i do europejskich elit. Niestety, ta wiedza nadal omija naszą prawicę, uwikłaną wciąż w niedawne bredzenie prezesa Kaczyńskiego o polskiej drodze do „Pax Americana” z jednej, a opowieściami prezydenckiego otoczenia o Nawrockim, dobrym kumplu Trumpa - z drugiej strony.
Brnąc w to dalej, połowa naszej sceny politycznej będzie wiepierać rzeczywistość, która jest prosta jak bruzdy w mózgu jej czołowych „analityków”: nie ma już żadnego „Pax Americana”. Gdzie w zamian za pozycję hegemonu USA dostarczały liberalnym demokratom bezpieczeństwa, działając - jak tylko się dało - w ramach teatralnej umowy, że prawo międzynarodowe i instytucje, z ONZ na czele, mają znaczenie.
Dziś jest Rada Pokoju przy królu Trumpie, która jest tylko fazą przejściową - w końcu narcyz z Białego Domu porządzi jeszcze raptem 3 lata - do klasycznego koncertu mocarstw. Starej, odwiecznej polityki, w której liczy się tylko brutalna siła, a sojusze i gwarancje są funkcją taktyki, a nie stałym punktem odniesienia. Gdzie Polska jest fajna dzisiaj, ale jutro może jednak dla USA fajniejsza będzie Rosja, bo Rosja jest większa i ma potrzebne surowce.
Kilka godzin po cyrku w Davos spotkają się przywódcy Europy, którzy zaczną się z tym nowym kształtem świata mierzyć na poważnie. Byłoby nieźle, gdybyśmy zaczęli to robić także w Polsce, ale jak to ma się udać, gdy połowa naszych polityków nadal na poważnie tłumaczy błazenadę Trumpa, zamiast na poważnie się zastanowić, co dla nas wynika z nowego kształtu świata. Może na poziomie ciut głębszym niż refleksje szefa prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa, który publicznie wyznaje, że jest „atlantystą”.
Tymczasem w Davos - według źródeł Bloomberg - Christine Lagarde, prezes Europejskiego Banku Centralnego, wyszła z prywatnej kolacji po tym, jak Howard Lutnick, sekretarz handlu USA, ostro się przejechał po gospodarczej polityce Unii. Bo Stany nie najadą żadnego kraju Europy, ale raczej żadnego też nie obronią. Za to gospodarczo już idziemy na wojnę - i każdy, komu się wydaje, że lepiej w tej grze trzymać z Trumpem kosztem europejskiej jedności, jest groźnym „fantastą”.

W świecie rywalizacji wielkich mocarstw kraje znajdujące się pomiędzy mają wybór: konkurować ze sobą o łaski albo połączyć siły, by stworzyć trzecią drogę z realnym wpływem. Nie powinniśmy pozwolić, by wzrost twardej siły oślepił nas na fakt, że siła prawomocności, integralności i zasad pozostanie silna, jeśli zdecydujemy się używać ich razem

FOTOkomentarz tygodnia



20 STYCZNIA, JANTAR

Przez kilka dni na nocnym niebie Polski – właściwie we wszystkich zakątkach kraju, można było obserwować wyjątkowe zjawisko – zorzę polarną (Aurora Borealis). Na ogół zorze polarne widywane są w rejonach okołobiegunowych, bo tam ziemskie pole magnetyczne jest najsilniejsze. Czasem, przy okazji bardzo silnych burz magnetycznych, jakie miały miejsce niedawno, zorza może przesunąć się na południe. Nic dziwnego, że nasz fotograf Przemysław Świdorski w poszukiwaniu niewiarygodnie kolorowego nieba pojechał na plażę do Jantar (woj. pomorskie)

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDORSKI



DAVOS, 21 STYCZNIA **Sytuacja na świecie jest poważna, a prezydent Stanów Zjednoczonych wygłasza w Szwajcarii stand-upy, hitem spotkania światowych liderów były okulary prezydenta Francji. Awiatory stylizowane na te, jakich używali Maverick i Joe Biden, miały rozwścieczyć Donalda Trumpa**

FOT. PAP/EPA



FOT. PAP/MARCIN GADOMSKI

PRAGA, 21 STYCZNIA **Robert Lewandowski doczekał się swojej pierwszej w karierze bramki samobójczej w meczu ze Slavią Praga. Na szczęście się zrehabilitował i strzelił też we właściwą bramkę**



FOT. IMAGO/ALEXANDR PRAGIS/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

KAMCZATKA, 20 STYCZNIA **Większość zdjęć, jakie można zobaczyć w internecie, to wytwory sztucznej inteligencji. Ale to prawda, Kamczatkę zasypał śnieg, wysokość zasp sięgała 12 metrów**

TU NIC SIĘ NIE ZMIENIA. ORKIESTRA ZNÓW ZAGRA W NIEDZIELE

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w ciągu ostatnich 34 lat zebrała 2 miliardy 600 milionów złotych, kupiła blisko 81 tysięcy urządzeń medycznych, uratowała życie i zdrowie tysiącom Polaków. To fakty, realny wymiar działalności Jerzego Owsiaka i najważniejszy argument tych, którzy grają razem z Orkiestrą

Dorota Kowalska



W najbliższą niedzielę WOŚP zagra pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci”

Będzie jak co roku: gwarnie, radośnie, wystrzałow. 25 stycznia WOŚP zagra pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci”, pieniądze wrzucane do puszek, te z aukcji, przeróżnych imprez organizowanych przez WOŚP zostaną przeznaczone na diagnostykę i leczenie chorób przewodu pokarmowego u najmłodszych pacjentów. - Jesteśmy w pełni przygotowani do kolejnego, 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy - zapowiedział Jerzy Owsiak. - Gramy na całym świecie. Jesteśmy pełni podziwu, zwłaszcza dla Polaków, którzy robią to poza granicami naszego kraju, bo robią to sami z siebie - podkreślił.

To będzie intensywna niedziela: w Polsce i za granicą do pracy ruszy 1681 sztabów, na ulicę wyjdzie 120 tysięcy

wolontariuszy. Na błoniach PGE Narodowego już w sobotę stanie miasteczko WOŚP, zagrają zespoły Myslovitz, LemON, Dżem i Happysad, ale w każdej, większej i mniejszej miejscowości coś będzie się działo. W Gdańsku głównym punktem 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy będą koncerty na scenie przy Europejskim Centrum Solidarności. W stolicy Dolnego Śląska scena główna Finału WOŚP stanie we rynku, podobnie w Krakowie.

Już tradycyjnie do akcji Jurka Owsiaka włączają się politycy, sportowcy, artyści.

Premier Donald Tusk przekazał na tegoroczną licytację złote korki piłkarskie, które dostał w prezencie od przyjaciół. Zwycięzca licytacji ma także zaproszenie na spotkanie w Sali Zegarowej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów - miejscu,

które gościło takie osobistości jak król Karol III, Barack Obama czy Emmanuel Macron.

Iga Świątek przekazała Orkiestrze rakietę z autografem oraz rękawiczki z zeszłorocznego Wimbledonu. Już licytuje je ponad trzydzieści osób. Efekt? 100 tys. zł zebranej kwoty.

Robert Lewandowski wystawił na aukcję koszulkę z finałowego meczu Superpucharu Hiszpanii, w którym zdobył jednego z goli.

„Maryla Rodowicz - ikona polskiej sceny - przekazuje na aukcję WOŚP limitowane okulary Jurka Owsiaka nr 115, stworzone specjalnie z okazji 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. To jednak nie wszystko! Zwycięzca aukcji otrzyma również wejściówkę na wybrany koncert Maryli Rodowicz w 2026 r. (lista koncertów dostępna na stronie marylarodowicz.pl) oraz krótkie spo-

tkanie za kulisami, podczas którego Artystka osobiście przekaze nagrodę” - czytamy w specjalnym oświadczeniu.

Radosław Sikorski, minister spraw zagranicznych, też nie zostaje w tyle. „Siema! Zapraszamy na wspólną przejażdżkę rowerową i rozmowę o Polsce oraz polityce międzynarodowej! Rower to moja pasja i ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Chętnie podzielę się nią z Państwem w szczytnym celu!” - zaoferował.

W rowerowej eskapadzie mogą wziąć udział cztery osoby.

Joanna Brodzik i Paweł Małachuk zapraszają do wspólnego popołudnia śladami kultowej „Magdy M.” - serialu, w którym grali główne role. „Odwiedzimy Plac Trzech Krzyży, ulicę Wiejską, gdzie mieszkała Magda, a potem wspólnie zjemy pyszną kolację

pełną wspomnień i wzruszeń” - zapowiedzieli.

Z kolei słuchacze Polskiego Radia będą mogli licytować własnoręcznie wykonany szalik Magdy Jethon, szefowej Radia Nowy Świat, kultowy, skrzypiący fotel ze studia oraz kuferek, który przez lata towarzyszył Wojciechowi Mannowi podczas pracy w legendarnej Trójce.

„Fundacja Książąt Lubomirskich przekazuje na licytację wyjątkowy zestaw: grafikę autorstwa Pablo Picasso oraz spotkanie z księżną i księciem Lubomirskimi-Lanckorońskimi w zabytkowych wnętrzach Palazzo Murano w Warszawie” - napisali na Instagramie książę Jan Lubomirski-Lanckoroński i jego żona, hrabianka Helena Mańkowska. Jak poinformowali, zwycięzca aukcji zostanie zaproszony na prywatną wizytę w pałacu, podczas której gospodarze opowiedzą o historii rodu Lubomirskich, rodzinnych tradycjach oraz wydarzeniach, które przez wieki kształtowały losy tej arystokratycznej rodziny.

A przecież to tylko kilka z dziesiątek aukcji. To dzięki nim, ale też pieniądзом wrzucanym przez nas wszystkich do puszek przez ostatnie 34 lata WOŚP zebrała 2 miliardy 600 milionów złotych, kupiła blisko 81 tysięcy urządzeń medycznych.

- Ogromne pieniądze - mówił na sobotniej konferencji prasowej Jerzy Owsiak. - Gdyby 34 lata temu ktoś mi powiedział, że będziemy mówili o takich pieniądzach, byłbym przerażony, w ogóle nawet nie próbowałbym cokolwiek robić w tym temacie - żartował.

Dodał też, że „jeżeli coś robi konsekwentnie, krok po kroku, robi się to z milionami Polaków, którzy chcą, aby orkiestra grała”, to musi się udać.

- Po prostu robimy swoje, bo nikt tego nie robi. Ale to, co zrobiliśmy, pokazuje, że wspólnymi siłami, bawiąc się doskonale, bo to mam nadzieję, że to będzie po raz kolejny świetna zabawa. Robimy rzeczy niezwykłe. Nikt na świecie takich rzeczy nie robi - zapewniał.

Bo dzisiaj Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy to marka, świetnie działające przedsiębiorstwo, „jedyna taka akcja na świecie” - jak mówią niektórzy, o globalnym zasięgu, z tysiącami wolontariuszy, połączeniem z największym w Europie darmowym festiwalem muzycznym Pol'and'Rock Festival (dawniej Przystanek Woodstock). Ale też Jerzy Owsiak stoi nie tylko za sprzętem zebranym dla polskich szpitali.

„Fundacja Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy oprócz działalności statutowej związanej z szeroko rozumianą ochroną zdrowia, organizacji zbiórki publicznej tzw. Finałów WOŚP oraz prowadzenia ośmiu ogólnopolskich programów

i akcji medycznych i jednego programu edukacyjnego angażuje się w różnego rodzaju akcje pomocowe - kłęski żywiołowe (np: akcja „Stop Powodziom”), kryzys humanitarny (pomoc migrantom na granicy polsko-białoruskiej), pandemia (walka z koronawirusem COVID-19), wojna (pomoc Ukrainie) czy akcje społeczne (pomoc wobec dzieci - akcja „Historia Misia”, akcja „Hejt mi nie gra”)” - czytamy na stronie WOŚP.

Tymczasem początki były trudne, właściwie to był „spontan”. Jerzy Owsiak, radiowiec, showman i filantrop, chciał w styczniu 1993 roku pomóc dzieciom zmagającym się z chorobami serca.

- Wszystkie zaczęło się zupełnie przypadkiem. Chodziło o zakup sprzętu dla Warszawskiego Centrum Zdrowia Dziecka. W szpitalu zepsuło się jedno z urządzeń. W telewizji o całej sprawie mówili Bohdan Maruszewski i Piotr Burczyński. Prowadziłem wtedy audycję w radiowej Trójce, na antenie rzuciłem hasło, że dobrze byłoby, gdyby udało się pomóc - opowiadał nam o początkach akcji Jerzy Owsiak. - Nikt nie przypuszczał, że ludzie zaczną wysyłać do radia pieniądze w kopertach. Tak ruszyła lawina ofiarość. Potem zaprosiliśmy do radia lekarzy. W sumie udało się wtedy zebrać, w przeliczeniu na pieniądze przed denominacją, kilkadziesiąt milionów złotych - dodał.

Nieżyjący już dziś Yach Paszkiewicz, autor projektu graficznego liter na słynnym WOŚP-owym serduszku i twórca teledysku do hymnu Orkiestry w wykonaniu Voo Voo, zdradził nam przed laty, że wcześniej w warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka leczyła się córka Owsiaka, która miała problemy ze wzrokiem. To właśnie wtedy Jerzy miał po raz pierwszy spotkać lekarzy, którzy skarżyli się na ograniczone możliwości polskiej służby zdrowia. Paszkiewicz poznał Owsiaka przy okazji pracy nad programem festiwalu w Jarocinie. - Pamiętam, że z Jurkiem i Walterem Chełstowskim spotykaliśmy się wtedy w takiej klitce, a Owsiak miał tam całą ścianę z kasetami zespołów, które zgłosiły się na festiwal w Jarocinie - opowiadał Yach Paszkiewicz. - Jerzy już wtedy miał w sercu rock'n'rolla, ale chyba nie spodziewał się, że Orkiestra zmieni całe jego życie. On był przecież kiedyś artystą, który chciał się dostać na ASP i robić witraże - dodawał.

Pierwsza oficjalna zbiórka, nazywana przez niektórych półfinałem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, została zorganizowana właśnie podczas wspomnianego festiwalu w Jarocinie w 1992 roku.

- Pieniądze zbieraliśmy do czarnych worków na śmieci. Banknoty trzeba było potem

prostować, a nawet prasować. To było nie lada wyzwanie przekonać ludzi do udziału w takiej zbiórce, ale się udało – wspominał Jacek Wroński, dziennikarz, który „gra” z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy od samego początku. – Pierwsze spotkanie z Jurkiem? Wydawał mi się nieco ekscentrycznym gościem z dużą rock’n’rollowca, który wygłaszał hasła typu „Uwolnić słonia”. Dzisiaj, kiedy patrzę na to wszystko z perspektywy czasu, mogę stwierdzić, że to prawdziwy wizjoner – tak mówił.

Sam Owsiak bronił się przed takimi stwierdzeniami.

– Uwierzcie mi, pomysł na orkiestrowe granie powstał spontanicznie, nie potrzeba było impulsu, nie było żadnej prywaty. Gdzieś w głębi serca siedzi we mnie rock’n’roll. Chcieliśmy głośno grać i pomagać – przekonywał Jerzy.

Podczas półfinału w Jarocinie udało się zebrać 40 tys. złotych (w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze). Tamten pamiętny festiwal był symbolicznym początkiem orkiestrowego grania.

– Jarocin dał nam impuls do tego, by zrobić coś na większą skalę w lecie 1993 roku. To miała być jednorazowa akcja, zorganizowana przy współpracy z telewizją – opowiadał Jerzy Owsiak. – W telewizji powiedziano nam, że lato nie wchodzi w grę, wszystkie wozy transmisyjne są zajęte, ale zimą będą wolne. To był czysty przypadek, ale los nad nami czuwał, bo okazało się, że zorganizowanie akcji pomagania w zimie było strzałem w dziesiątkę. Rozgrzaliśmy ludzkie serca – dodał.

Wolontariusze zbierali pieniądze, a ludzie przynosili tam, gdzie grali, pamiątki rodzinne, czasami złotą biżuterię, z której potem powstawały pierwsze złote serduszka. Jakaś pani podarowała na rzecz Orkiestry obrączki po zmarłym mężu, inna złoty pierścionek.

Fundacja WOŚP powstała po pierwszym finale, 3 stycznia 1993 roku, ale przede wszystkim trzy lata działała spontanicznie.

– Nie wiedzieliśmy, że taką działalność trzeba gdzieś zarejestrować, że trzeba coś z tym zrobić. Dopiero, kiedy jesienią 1997 roku przyszli do nas przedstawiciele Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dowiedzieliśmy się, że musimy to u nich zgłosić, bo wszystko podlegało przepisom z lat 30. Ale nawet wtedy mogliśmy liczyć na ogromne wsparcie urzędników – podkreślał Owsiak. – To byli mili ludzie, którzy po prostu wykonywali swoje obowiązki. Mówili: „chcemy, żebyście grali dalej, ale trzeba to sformalizować”. Uczyliśmy się na własnych błędach. Nigdy wcześniej w Polsce nie było przecież żadnego wolontariatu, działającego na taką skalę. Byliśmy pierwsi – dodał.

Jerzy Owsiak powtarzał, że zespół jest dla niego najwyższą wartością, bardzo często zresztą używa słowa „my”. Łączą ich przyjacielskie relacje, dużo czasu spędzają razem. Są jak rodzina.

Agata Młynarska od samego początku towarzyszy Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. Znała się z Jurkiem Owsakiem już wcześniej.

– Bardzo dawno temu, prawie 35 lat temu, to były początki mojej pracy w telewizji. Na korytarzu zatrzymał mnie Jurek i zaproponował mi współpracę. Mielśmy od razu wspólną, jak to się mówi, fazę, złapaliśmy kontakt i zaproponował mi pracę w programie, mówiąc, że mam sobie siebie wymyślić i właściwie nie bardzo wie, co mam robić. Po prostu: Agata, wymyśl coś. No więc jakoś tak wspólnie wymyślaliśmy i przez dwa czy trzy lata robiliśmy ten program – mówiła w Jastrzęb Post.

„Od tego dnia, I Finału WOŚP – 3.01.1993 roku, staliśmy się w Polsce lepszymi, weselszymi, odważniejszymi i bardziej kolorowymi ludźmi. Od 30 lat czerwone serduszo to znak rozpoznawczy naszej wielkiej, wielopokoleniowej rodziny. Bijemy rekordy w zbieraniu kasy, ale przede wszystkim bijemy rekordy solidarności i lojalności. Zbieramy pieniądze, żeby pomagać chorym dzieciom. Ale oprócz kasy jeszcze w życiu coś się liczy... przyzwyczajenie, uczciwość, lojalność, zaufanie, prawda! O tym też jest WOŚP. To jest jej DNA!” – pisała niegdyś Młynarska w mediach społecznościowych.

Pamięta, że podczas finału zawsze panowało pozytywne zamieszanie.

– Bardzo dużo ludzi wchodziło do studia, i oni wszyscy się bardzo cieszyli, i wkładali mi pieniądze gdzie popadnie. Ja miałam pieniądze za koszulą, w kieszeniach, pierścionki ponakładane (...) – opowiadała.

Wspominała, że dzieci wysypywały pieniądze z puszek na podłogę, więc trzeba było zamiatać je miotłami. W szarej Polsce wybuchła kolorowa bomba, w studiu telewizyjnym pojawiali się różni ludzie, w tym wyznawcy Hare Kryszna.

Podobny entuzjazm widocznym był na scenie podczas licytacji. Na aukcje wystawiano nawet drobne rzeczy, choćby rysunki. Do jednego z nich dziennikarka dodała w aukcji swojego buziaka, o czym zrobiło się głośno.

Z kolei w Onecie Rano opowiadała, że podczas pierwszego finału nie było scenariusza, nikt nie wiedział, jak to wszystko się potoczy. Studio było niemal puste. Były jakieś drabinki udające półki i woreczki mające symbolizować przyływ pieniędzy. Przez korytarz telewizyjny przemierzały grupy ludzi, podskakując,



Dzisiaj ci, którym Orkiestra kiedyś pomogła, czasami uratowała życie, sami biegają po ulicach z puszkami w ręku

podśpiewując albo „jacyś koleś z dziwnych zespołów rockowych”, byli też hare krysznowcy, biegali po telewizji na bosaka. Był styczeń.

– Pod koniec dnia, nagle, okazało się, że kasa hula po podłodze studia, że strażnicy muszą ją zamiatać (...), łapać ją do wielkich, plastikowych worów. I wtedy dopiero dotarło do nas, że trzeba się zabrać za to w sposób poważny, profesjonalny. I orkiestra, fundacja, dochodziła do tego, w jaki sposób ma to działać. Wydaje mi się, że oprócz tego, że stworzyła coś niepowtarzalnego i jedyne w swoim rodzaju, to stworzyła też maszynę do przetwarzania tego wielkiego dobra, które płynie strumieniem od ludzi – opowiadała Młynarska.

Podkreślała, że najważniejsza była wówczas energia młodych ludzi, których Jurek Owsiak za sobą pociągnął.

Z czasem, Owsiak znany także ze swoich często kontrowersyjnych wypowiedzi dorobił się wrogów, zwłaszcza po stronie prawicowych polityków i mediów.

Skąd niechęć, a czasami wręcz nienawiść do Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, organizacji niosącej pomoc, wspierającej chore dzieci?

– To nie ma wiele wspólnego z tym, co robi WOŚP. Główny powód to straszliwy podział naszego społeczeństwa. Pęknięcie, które kształtowało się od kilkunastu lat. Mamy dwa różne światy i plemiona. WOŚP działa długo i zrobiło wiele dobrego, więc jest sukcesem liberalnej strony społeczeństwa. Nienawiść do tej części ludzi ze

strony prawicowo-konserwatywno-wstecznej jest silna pod każdym względem. Widać to w mediach społecznościowych. Tak jak ze strony lewicowej czy liberalnej agresją kieruje się przeciwko Kościołowi, jako rdzeniowi prawicowej strony, tak tu kieruje się przeciwko panu Owsiakowi i jego społecznej inicjatywie – tłumaczył rozmówcę z RadioZET.pl socjolog prof. Ryszard Cichocki z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

I widać to w sondażach: 54,3 procent Polaków pozytywnie ocenia działalność Jerzego Owsia i WOŚP, 36,8 proc. ma negatywny stosunek do tej inicjatywy. Ta ocena zależna jest od sympatii politycznych – wynika z badania przeprowadzonego przez United Surveys dla Wirtualnej Polski.

Wyborcy koalicji rządzącej, czyli połączonych grup wyborczych Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, ludowców i Polski 2050, w większości pozytywnie (łącznie 85 proc.) oceniają działalność Orkiestry i samego Owsia.

Negatywne nastroje (łącznie 65 proc.) w związku z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy przeważają wśród wyborców opozycji, czyli grup wyborczych PiS i Konfederacji.

– Łatwo krytykować, gorzej zrobić coś równie silnego. Nie chcę mówić, że akcja Jurka Owsia jest idealna, bo zawsze można coś poprawić, łącznie z tym, co mówi Jurek, ale pamiętajmy, że nie działa sam. Rozkręcił wielką maszynę ludzi, którzy chcą pomagać i trzeba to docenić – mówił swego czasu w wywiadzie dla

Wirtualnej Polski dr Konrad Maj, psycholog społeczny ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Jurek Owsiak znalazł świetny sposób na zachęcenie do pomagania potrzebującym. To fenomen – dodał.

Bo działalność Owsia ma przecież swój realny wymiar. Rodzice dzieci, których życie i zdrowie zostało uratowane przez sprzęty WOŚP, dzielą się w Internecie swoimi historiami.

Agnieszka Kowalska: „Moje kruszynki dzięki Jurkowi miały badany słuch sprzętem WOŚP. Z Wielką Orkiestrą jestem i będę, odkąd pamiętam. Kiedyś, za dzieciaka, to była dumą móc przyjść do szkoły z naklejką Orkiestry, z serduszkami przyklejonym na plecak czy kurtkę, dawało to taką dumę, że „dodałem” swój, czasem symboliczny, grosik. (...) Mam nadzieję, że do bro wraca, bądźmy w tych trudnych chwilach z Jurkiem Owsakiem, nie wyobrażam sobie nawet, jakie to są dla niego tragiczne chwile, jaka to musiała być dla niego ciężka decyzja. Na pewno nie odetchnął z ulgą”.

Magda i Michał: „We wrześniu 2002 r. urodzili się Kamil i Dawid. W łonie mojej żony Magdy przetrwali tylko 25 tygodni, czyli 5 miesięcy. Kiedy pojawiły się skurcze w szpitalu Świętej Rodziny, lekarze zdecydowali o szybkim przewiezieniu żony do Kliniki Położnictwa na Polnej w Poznaniu. Podczas transportu pielęgniarka bezceremonialnie oświadczyła Magdzie, że nie może liczyć na udany poród, gdyż „tak małe płody nie przeżywają”. Na Polnej udało się o kilka dni opóźnić poród. Wdrożono m.in. program surfaktantowy,

unikalny, dopiero wprowadzony w Polsce. Niestety, po kilku dniach Kamil się pospieszył. Lekarzom nie udało się go zatrzymać. W ślad za nim podążył Dawidek, jeszcze w worku owodniowym. Obaj – na dobry początek – dostali po 1 punkcie Apgar. Kamil ważył 710 g, a Dawid 640 g. Przyjmujący poród pocieszał Magdę, żeby się nie martwiła, bo chłopaki przeżyją. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że zobaczył, iż chcą tego diabelsko. Po drugie – bo na Polnej mają najlepszy sprzęt, jaki jest dostępny na świecie. – Takie medyczne maybachy i mercedesy – powiedziała pani ordynator. Kiedy wpuszczono mnie w końcu na oddział intensywnej opieki nad noworodkiem, pierwsze co uderzyło mnie w oczy to czerwone serduszka na każdym urządzeniu. (...) Chłopcy spędzili w szpitalu ponad 3 miesiące – do Wigilii. Na ten dzień mieli pierwotnie wyznaczony termin porodu. Przez cały czas lekarze nie mówili o szansach przeżycia bliźniaków. Dopiero, gdy było jasne, że zabierzemy ich do domu, pani ordynator powiedziała, że przeżywalność dzieci z taką wagą urodzeniową w Szwecji i USA (tam odsetek jest najwyższy) wynosi 30 procent. Tu udało się uratować obu (...). Dziękujemy Ci, Jurek!”

Opowieści, takich jak Magdy i Michała, czy Agnieszki Kowalskiej są tysiące. Dzisiaj ci, którym Orkiestra kiedyś pomogła, czasami uratowała życie, sami biegają po ulicach z puszkami w ręku, grają razem z WOŚP. I to najlepsza puenta historii, która trwa już 34 lata.

FOT. KAROLINA MISZTAŁ

„DZIECI ZASNEŁY NA ZAWSZE W SWOICH ŁÓŻECZKACH”. ŚLEDZTWO PO TRAGEDII W CHEŁMNIE

Cichy zabójca przyszedł w nocy. Zabrał życie Zuzannie, Mikołajowi, Oliwii i Nikoli. Właścicielka domu, w którym mieszkała rodzina, trafiła do aresztu. Krótco przed publikacją tekstu dowiedzieliśmy się, że zarzuty postawiono także kominiarzowi

Maciej Czerniak

Stare Planty w Chełmnie to urokliwa uliczka biegnąca na skarpie opadającej ku dolinie Wisły. Wtorek, 20 stycznia. Parkiem przechadzają się nieliczni mieszkańcy. Kamienice przytulone do starych murów miasta, zwrócone frontem ku dolinie. Na progu tej z nr 1 kilkanaście zapalonych zniczy. To właściwie nie kamienica, tylko niski, dwukondygnacyjny dom, ścianą złączony z sąsiadującym, starszym. Dwa wejścia do budynku zaplombowane, na taśmach: „Policja, nie zrywać”.

Sąsiedzi nie chcą rozmawiać. Jeden mówi wprost: - Jestem zmęczony tą sytuacją. Nie mam nic więcej do dodania. Dajcie już nam spokój.

Śmiertelne stężenie

W czwartek, 15 stycznia, wieczorem media obiegała wiadomość, że po godz. 17 w budynku przy Starych Plantach znaleziono cztery ciała. Dzieci leżały w łóżkach. Prawdopodobnie zmarły wieczorem, może w nocy - to ustala jeszcze prokuratura.

Zuzannę, jej najmłodszego synka, liczącego 2 lata Mikołaja, 7-letnią Oliwii i 11-letnią Nikolę znajdują strażacy, którzy przyjechali na interwencję. Wcześniej policję zaalarmowała siostra Zuzanny. Nie mogła się z nią skontaktować w ostatnich dniach. Był czwartek, a jak się okazało, dziewczynki nie chodziły do szkoły już od poniedziałku. Informacja z Wojewódzkiego Centrum Powiadomienia Ratunkowego najpierw trafia do policji, a kiedy mundurowym nikt nie otworzył drzwi, wrzucają straż pożarną.

Konieczne jest siłowe wejście do mieszkania. Obawiają się najgorszego.

Badanie, przeprowadzone przez strażaków interweniujących w budynku przy Starych Plantach, wskazuje, że przyczyną śmierci całej rodziny musiało być wysokie stężenie tlenku węgla. Czad zabija. Wskaźnik ukazuje wartość sięgającą 900 ppm, a to już dwukrotne przekroczenie śmiertelnego stężenia tego gazu. Na miejscu pojawia się prokurator. Pracę rozpoczynają technicy kryminalistyk.



Urny matki i dzieci spoczęły we wspólnej mogile na cmentarzu w Górnym Wymiarach

Ciała zostają zabezpieczone do badań sekcyjnych. Te, przeprowadzone w poniedziałek, 20 stycznia, potwierdzają wstępne przypuszczenia - cała rodzina zmarła na skutek zatrucia czadem z pieca gazowego.

Dzień po tym, kiedy ujawniono okoliczności tragedii, głos zabiera widocznie wstrząśnięty burmistrz Chełmna, Mariusz Kędzierski: - W związku z wczorajszym zdarzeniem na Starych Plantach składam wielkie kondolencje dla rodziny dzieci, matki, którzy zostali wczoraj znalezieni z zadziwieniem - te słowa burmistrz wypowiada drżącym głosem. - Chciałbym państwu namówić do tego, abyście zaopatrzyli się w czujki czadu. Takie urządzenie kosztuje od 30 do 150 zł, a może uratować życie. Pomyślimy o tym, by przynajmniej w miejskich mieszkaniach pojawiły się takie czujki, ale to jest taki pomysł ad hoc, chyba poważnie trzeba podjąć decyzję, by ogłosić program, kupić to, żeby było bezpiecznie.

Kilka dni po tej tragedii Piotr Całbecki, marszałek woj. kujawsko-pomorskiego ogłasza, że samorząd przeznaczy 2 mln złotych na takie czujki dla mieszkańców regionu. Trzeba tylko dopracować szczegóły.

Jadę do Szkoły Podstawowej nr 1 w Chełmnie. Oliwia chodziła do pierwszej klasy, Nikola do piątej. - To były spokojne dziewczynki, lubiane przez kolegów i koleżanki. Ich śmierć to

irrationalna, niewyobrażalna tragedia - mówi Agnieszka Cabaj, dyrektorka SP nr 1.

Uczniowie obu klas zostali objęci opieką psychologiczną. - Tu bardzo ważna jest rola wychowawców i rola rodziców, którym składam ogromne podziękowania za współpracę. My, dorośli, inaczej to przeżywamy i dzieci inaczej - podkreśla dyrektorka. - Pomoc psychologiczna musi być długofalowa, bo w pierwszym okresie dzieci mogą nie okazywać takiej żałoby, przeżywania straty koleżanek. To może nastąpić, uwidocznić się dopiero w późniejszym okresie ich rozwoju.

„Serca pękły na kawałki”

Tak napisano w poście na stronie szkoły. Poniżej informacja, że na parterze budynku wystawiono skrzyneczkę, w której można umieścić kartki z zapiskami wspomnień dotyczących Nikolki i Oliwki. Są też fotografie uczennic - z pasowania Nikoli, z wyjazdu szkolnego, wśród koleżanek i kolegów oraz Oliwii z opaską misiem, w niebieskim szkolnym birecie, z mikrofonem.

- To jest niewyobrażalne. Boże, ciężko sobie uzmysłowić to, co się stało. Płacę, kiedy wyobrażę sobie, że te dzieciaczki zasneły na zawsze już w swoich łóżeczkach - emocji nie może ukryć starsza kobieta, którą spotykam na skraju rynku w centrum Chełmna.

Stoi przed bramą kościoła archidiecezjalnego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Przy kościelnej furcie wiszą cztery nekrologi rodziny ze Starych Plantów. Ostatnie pożegnanie, msza żałobna odbywa się dzień później w kościele parafialnym w Górnym Wymiarach. W kondukcje pogrzebowym niesione są cztery urny. Trzy białe - Mikołaja, Oliwii i Nikoli. W mosiężnej spoczywają prochy Zuzanny. W ostatniej posłudze uczestniczy wiele osób. Bliscy. Obcy, którymi wstrząsnęła tragiczna śmierć matki i dzieci. Wśród żałobników - koleżanki i koleżki ze szkoły.

Rozwój śledztwa

Niemal tydzień po rodzinnej tragedii uwagę nie tylko mieszkańców Chełmna przykuwa nowy, szokujący wątek sprawy. Policja zatrzymuje Joannę M., współwłaścicielkę domu, w którym mieszkanie wynajmowała Zuzanna. - Został przedstawiony zarzut podżegania do podrobienia dokumentów, potwierdzających czynności przeglądu i kontroli pieca gazowego. Kobieta chciała użyć sfałszowanego dokumentu jako autentycznego - powiedziała prok. Izabela Oliver, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Kobieta miała nakłaniać diagnostę przewodu kominowego do wystawienia stosownego

dokumentu już po tym, kiedy wydarzyła się tragedia.

M. trafia do aresztu na miesiąc. W tym czasie Prokuratura Rejonowa w Chełmnie, która bezpośrednio nadzoruje postępowanie, gromadzi kolejne dowody w sprawie. Podejrzanej grozi od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Nieoficjalnie dowiaduję się, że w kręgu podejrzanych mogą się znaleźć kolejne osoby. Odnosi się do tego prok. Mateusz Wiśniewski, pełniący obowiązki szefa PR w Chełmnie: - Nie o wszystkim możemy informować z uwagi na próby mataczenia, które już miały miejsce w tym postępowaniu. Nie możemy uprzedzać świadków o treści zeznań, jakie były składane.

Prokurator dodaje: - Każdy właściciel nieruchomości jest zobowiązany do przeprowadzenia rocznego przeglądu systemu kominowego. Jeżeli, co ustaliliśmy w toku śledztwa, miała miejsce próba uzyskania dokumentu, to po prostu może wskazywać, że takie przeglądy w ogóle nie były wykonywane. Pytam, czy to prawda, że zarzutów może być więcej? Mogą dotyczyć sprowadzenia niebezpieczeństwa na inne osoby?

- Prokurator nigdy nie jest w stanie wykluczyć ewentualności zmiany zarzutów. Na razie nic takiego nie miało miejsca - odpowiada prok. Wiśniewski.

W budynku mieszkały jeszcze trzy rodziny najemców. Mu-

siły opuścić lokum z powodu potencjalnego zagrożenia zatrucia tlenkiem węgla. Dwie znalazły schronienie u swoich bliskich, a jedna - matka z trojgiem dzieci - trafiła do schroniska nad Jeziorem Starogrodzkim.

Istotny będzie wynik eksperymentu procesowego; biegły musi przeprowadzić badanie systemu wentylacji w budynku w konkretnych warunkach atmosferycznych.

- Miasto czeka na decyzję organów budowlanych, czy będzie możliwość zasiedlenia tych rodzin - mówi Jolanta Padzik, prezes Chełmińskiej Społecznej Inicjatywy Mieszkaniowej, skupiającej wszystkie lokale komunalne w mieście. - Jeżeli decyzja o powrocie będzie pozytywna, to te osoby odzyskają dostęp do swoich mieszkań. Jeżeli nie, to zostanie podjęta decyzja o odwołaniu tego, czy zabezpieczać tych ludzi mieszkaniowo, czy nie.

Mariusz Szymański, powiatowy inspektor budowlany: - Nie mieliśmy sygnałów, by coś działo się źle, jeżeli chodzi o ten konkretny budynek. Po badaniu wrócimy jednak do dokumentów dotyczących tej nieruchomości i sprawdzimy jej historię - zapewnia.

Z ostatniej chwili

W czwartek, 22 stycznia, nadchodzi kolejna informacja - zostaje zatrzymana jeszcze jedna osoba. Chodzi o kominiarza, który miał wykonywać przeglądy w domu przy Starych Plantach. Usłyszał zarzut poświadczenia nieprawdy. Chodzi o przegląd kominowy, który miał być przeprowadzony w marcu 2025 r., ale istniał tylko na papierze. - Z ustaleń wynika, że mężczyzna nie wykonał badania przewodów w każdym z mieszkań budynku i m.in. nie sprawdził drożności kominów na dachu - mówi prok. Wiśniewski. - Budynek zatem nie miał ważnego przeglądu technicznego instalacji.

Kominiarz został objęty dozorem policji, ma zakaz opuszczania kraju i m.in. zakaz wykonywania zawodu do czasu, aż sąd wyda w jego sprawie stosowną decyzję procesową.

Współpraca: Daniel Dreyer i Katarzyna Kucharczyk



WYPASIONE

Gorrrące nowości (nie tylko) na zimę.



1 litr

mleko smakowe



mlekovita



mlekovita_pl



www.mlekovita.com.pl

SZTUCZNA INTELIGENCJA BŁYSZCZAŁA W LAS VEGAS. CZY ZMIENIA NASZE ŻYCIE NA LEPSZE?

Targi CES (Consumer Electronics Show) w Las Vegas to coś więcej niż tylko największa na świecie wystawa technologicznych gadżetów. To przegląd trendów, które od lat pokazują, jak zmieniają się technologie i jaki wpływ mają na nasze życie

Kazimierz Sikorski



Boston Dynamics Atlas, którego obsypano nagrodami w kategorii Najlepszy Robot

Lanim wypełniły się ogromne sale targów CES 2026 w Las Vegas zwiedzającymi, goście byli świadkami niecodziennej prezentacji.

Ogrom prezentowanych urządzeń, gadżetów i zabawek był tak duży, że z wyborem najlepszych i najciekawszych były problemy. Wśród wyróżniających się zwracała uwagę obroza ze sztuczną inteligencją dla psa.

Na ogromnych ekranach przedstawiano przyszłość branży elektronicznej. Były samochody poruszające się z gracją bez pomocy człowieka, super nowoczesne urządzenia medyczne i wiele innych przedmiotów, służących lepszemu życiu.

Komentarze zapowiadały kolejne przełomy nie tylko w branżach wspomnianych sztuczną inteligencją, które będą gotowe nie za dekadę, ale już, za rok, góra dwa lata. Słuchacze nie mieli wątpliwości, że królową CES 2026 była sztuczna inteligencja (AI).

Sztuczna inteligencja dobra dla wszystkich

Na pytanie, czy starsza część publiki powinna się bać sztucznej inteligencji, czy też powinna się jej uczyć, Gary Shapiro, autor i dyrektor generalny oraz wiceprzewodniczący Consumer Technology Association (CTA), miał jedną odpowiedź:

„Tak, zdecydowanie powinni się jej uczyć”.

I rozwijając myśli dodał, że to dzięki AI nie tylko starsi dostaną bezpieczniejsze auta, będą korzystali z coraz bardziej nowszych i skuteczniejszych urządzeń poprawiających ich zdrowie.

O tym, że sztuczna inteligencja zdominuje największe targi elektroniczne na świecie nikt nie miał wątpliwości. Przeniknęła do niemal każdego zakątka naszego życia. Po to, by pomagać, czynić życie dłuższe, ciekawsze i zdrowsze.

Targi CES 2026 w Las Vegas to już historia, ale charakter wydarzenia oznacza, że wiele z prezentowanych technologii, produktów i dziwacznych pomysłów pojawi się na rynku w najbliższej przyszłości (a wiele z nich można kupić już teraz).

Inteligentna obroza dla naszych psów

Wśród prezentowanych gadżetów uwagę zwróciła inteligentna obroza dla psów. Co prawda daleko jeszcze do chwili, w której będzie ona tłumaczyć szczekanie na słowa, ale i tej chwili doczekamy.

Satellai Collar Go wykorzystuje platformę Petsense AI do monitorowania lokalizacji, snu i temperatury oraz innych wskaźników, które oceniają zdrowie czworonoga i alarmuje, gdy coś z psem jest nie tak.

Zainteresowanie wzbudził też skaner kodów kreskowych do lodówek. Mówi się, że to

przyszłość naszych lodówek. Niebawem ma tak być, że inteligentne lodówki będą wiedziały, co jest w ich środku, dzięki czemu sprawdzimy, które produkty stają się przeterminowane. Rozwiązaniem ma być sztuczna inteligencja, z kamerami wykrywającymi, co włożyliśmy do lodówki. Nowa inteligentna lodówka GE Profile wykorzystuje sprawdzoną technologię kodów kreskowych, która jest łatwiejsza i bardziej znana.

A co byśmy powiedzieli o odkurzającym robocie, który wykonuje robotę na schodach? Widok robota Saros Z70 firmy Roborock i jego ramienia zainteresował zwiedzających. Roborock pokazał kolejną wersję swojego urządzenia, Dreame X50 Ultra. Ma nogi, które umożliwiają poruszanie się po schodach w górę i w dół. Dobrze radzi sobie na schodach, które odkurza, obracając się o 90 stopni, a jedną z nóg opiera na dolnym stopniu, by zachować stabilność przy pracy.

Saros Rover jest robotem z przyszłością, gdy my się będziemy wylegiwać się na kanapie, on wykona za nas całą pracę.

W przypadku nowoczesnych ekranów, zaletą nie jest już ich liczba, ale łączna liczba pikseli o wysokiej rozdzielczości dostępnych do wszelkiego rodzaju wielozadaniowości.

Monitor firmy Dell UltraSharp 52 Thunderbolt to 52-calowy wyświetlacz o rozdzielczości 6K i częstotliwości odświeżania 120 Hz. Pełni on też funkcję huba Thunderbolt 5 do podłączania potrzebnych urządzeń.

Jedyny robot, o którym wszyscy mówili na CES

W Las Vegas pojawiło się mnóstwo robotów o różnej jakości. Niektóre zaprojektowano z myślą o ograniczonych zadaniach, inne próbują upodobnić się do ludzi. Jest też Boston Dynamics Atlas, którego obsypano nagrodami w kategorii Najlepszy Robot w konkursie Best of CES 2026. Ten wolnostojący robot humanoidalny wkrótce trafi do fabryk Hyundai, oferując wyjątkowy zakres ruchu, wytrzymałość i łatwość naprawy.

Wielu chciałoby zdobyć nóż szefa kuchni, który z łatwością kroi jedzenie. Większość noży kuchennych nie jest zbyt ostra, dlatego krojenie czegoś delikatnego, na przykład pomidora, kończy się czasami kłeską.

Czy można wyobrazić sobie nóż, który będzie kroił czysto z minimalnym wysiłkiem? Jak najbardziej. Seattle Ultrasonics zaprojektowało C-200, ultradźwiękowy nóż szefa kuchni, który wibruje 30 000 razy na sekundę. Dzięki temu ostrze płynnie przesuwają się po jedzeniu i zapobiega przyklejaniu się plasterków do boków ostrza. Noże ultradźwiękowe są powszechne w przemysłowych

zastosowaniach, ale C-200 jest pierwszym opracowanym z myślą o domowej kuchni.

Słuchawki ze sztuczną inteligencją

Coraz bardziej powszechne stają się kamery wbudowane w inteligentne okulary, a dzięki technologii AI możliwe jest zadawanie inteligentnym asystentom pytań, takich jak „Na co patrzę?”.

Producent akcesoriów do gier, Razer, uznał, że kamera może być prawie w każdym urządzeniu i dodał ją do słuchawek gamingowych w ramach Projektu Motoko. Słuchawki wyposażone są w dwie 12-megapikselowe kamery 4K i łączą się z dowolną usługą AI, aby odpowiadać na pytania.

Specjalny czujnik obecności przestrzennej

Nasze domy można już wyposażać w inteligentne lampy, inteligentne gniazdka i inne urządzenia, które są aktywowane przez czynniki takie jak pora dnia lub zaplanowane sceny. Można mieć jeden lub dwa czujniki ruchu, które włączają światła, gdy ktoś się zbliża.

Aqara poszła jeszcze dalej, tworząc wieloczujnik przestrzenny FP400. To urządzenie wykrywa obecność - „w mniej inwazyjny sposób śledzenia ruchu w domu w porównaniu z oczami kamer bezpieczeństwa wewnętrznego”. Przykładem wykrywania obecności jest monitorowanie ludzi starszych, żeby szybko zareagować po ich upadku.

Polska gwiazda w Las Vegas

Warto wspomnieć o polskiej obecności na targach w Las Vegas. Po raz kolejny błysnęła firma Vasco Electronics z Krakowa, która jest globalnym liderem technologii tłumaczeniowych opartych na sztucznej inteligencji.

Vasco wkracza na nowe obszary i nie ogranicza się do tłumaczenia języków. Wprowadza innowacyjne funkcje, które umożliwiają lepsze zrozumienie otaczającej rzeczywistości. Dzięki usłudze Vasco Audience dociera do nowych grup użytkowników. Vasco Assistant oznacza niespotykane dotąd, poszerzone możliwości poznawcze, a tłumaczenia offline gwarantują komunikację w najodleglejszych zakątkach świata.

Rozwiązania przedstawione w Las Vegas będą dostępne dla nowych użytkowników Q1, jak i dla tych, którzy już posiadają urządzenie. Takie podejście odzwierciedla strategię Vasco: firma oferuje długoterminowe wsparcie i aktualizacje, które sprawiają, że jej translator pozostaje użyteczny i nowoczesny przez wiele lat.

Assistant to pierwszy krok w stronę prawdziwego asy-

stenta kontekstowej komunikacji, który nie tylko tłumaczy język, lecz objaśnia też otaczający świat. Z wykorzystaniem najnowszych modeli AI umożliwia głębsze zrozumienie sfotografowanych treści, poprzez interpretację ich znaczenia i kontekstu. Zmieni znaki, dokumenty czy dowolne uchwycone obiekty wem translatora codzienne doświadczenia w jasne informacje. Wspiera podróżników, osoby uczące się oraz specjalistów z różnych dziedzin, którzy oczekują technologii identyfikującej niuanse i pomagającej w bardziej naturalnej, znaczącej interakcji ze światem.

Vasco Audience to platforma tłumaczeń dla grup słuchaczy, gwarantująca każdej osobie w grupie zrozumienie wypowiadanych treści – niezależnie od języka, którym się posługuje. Umożliwia mówcy dotarcie do wielu osób jednocześnie, dostarczając indywidualne tłumaczenia w czasie rzeczywistym podczas spotkań, wykładów, wycieczek czy wydarzeń – zupełnie tak, jakby każdy słuchacz miał swojego osobistego tłumacza.

Audience jest samodzielnym rozwiązaniem współpracującym z urządzeniami Vasco (słuchawką tłumaczącą E1), jak i zewnętrznymi źródłami audio. Jest to też pierwsza usługa typu Software as a Service w ofercie Vasco Electronics. Dla słuchaczy nie wymaga instalacji aplikacji ani zakupu urządzenia – logowanie do „swojego tłumacza” odbywa się poprzez przeglądarkę internetową na dowolnym urządzeniu (komputer, telefon).

Vasco Offline umożliwia komunikację w najodleglejszych zakątkach świata; w miejscach bez dostępu do internetu, oferując niezawodne tłumaczenie offline, na którym można polegać, gdy zawiodą inne sposoby komunikacji. Wspiera podróżników, pracowników terenowych i wszystkich, którzy chcą przełamywać bariery komunikacyjne – w tym te wynikające z braku łączności. Co ważne, tryb Offline bazuje na własnych modelach językowych Vasco, nad którymi firma pracuje od lat i – jak zapewnia – są one dokładniejsze i szybsze niż te obecnie dostępne na rynku.

Bezprzewodowa komunikacja dla urządzeń osobistych

Odnutowano na targach w Las Vegas nowy trend technologiczny. To liczba urządzeń osobistych dostępnych do noszenia przy sobie lub podłączania do ciała: smartwatche, pierścionki, naszyjniki z AI, okulary i rzeczek jasna telefony.

Wszystkie korzystają z sieci bezprzewodowej Bluetooth lub Wi-Fi, ale większa liczba urządzeń powoduje przeciążenia, a czasem także problemy z komunikacją.



Po raz kolejny błysnęła firma Vasco Electronics z Krakowa, która jest globalnym liderem technologii tłumaczeń opartych na sztucznej inteligencji

Dlatego jest Ixana Wi-R, protokół i układ, które tworzą hiperlokalne pole blisko ciała, umożliwiając niskie opóźnienia i transfer danych z prędkością 5 Mb/s.

Przenośne laboratorium żywności

To niezwykle zmysłne i bardzo potrzebne urządzenie. Alergie pokarmowe mogą być poważne, a wyjście do restauracji lub do cudzych domów może wywoływać czasami strach.

Osoby z alergią na nabiał lub gluten będą miały dostęp do przenośnego laboratorium, które zbada potencjalne zagrożenia. Alergen Alert analizuje próbki żywności umieszczone w jednorazowych saszetkach i dostarcza wyniki w ciągu kilku minut. Jest testowany przez szefów kuchni do badania żywności przed jej opuszczeniem przez kuchnię. Allergen Alert został zwycięzcą w kategorii Najlepszy Startup w konkursie Best of CES 2026.

Ładowanie bez kabli

Wspominamy początki Wi-Fi i jego zdolności przesyłania danych bez podłączania się do sieci przewodowej lub linii telefonicznej. Dziś zabieramy laptopy do kawiarni i hoteli, oczekując, że będziemy mogli łączyć się z internetem bezprzewodowo.

Kolejnym krokiem jest zasilanie bezprzewodowe, gdzie można ładować urządzenia, umieszczając je w polu generowanym przez źródło zasilania. Fińska firma Willo, po latach objętych tajnymi badaniami, opracowała technologię, która ma spełnić tę obietnicę. Poczekamy, ocenimy. Prace były na tyle imponujące, że zdobyły nagrodę w kategorii „Najlepsza Techno-

logia Energetyczna” podczas targów Best of CES 2026.

A co byśmy powiedzieli o ładowarce słonecznej, która podąża za... słońcem? Elektrownie z funkcją ładowania słonecznego są świetne, o ile znajdują się w słonecznym polu. Oznacza to jednak konieczność okresowego zmieniania położenia urządzenia lub podłączonych paneli słonecznych, aby zapewnić im optymalne ładowanie.

Zamiast tego całą pracę wykonuje elektrownia. Jackery's Solar Mars Bot to autono-

miczny, mobilny akumulator zapasowy z chowanymi panelami słonecznymi. Śledzi słońce i porusza się w razie potrzeby.

Pralko-suszarka, która w końcu się opłaca

Kiedy nasza pralka lub suszarka zakończyła ostatni cykl, musimy zdecydować, czy wymienić ją na nową, czy kupić nową. Czy nie byłoby łatwiej mieć jedno urządzenie, które zajmie się praniem i suszeniem ubrań? To nie nowy pomysł, ale pralko-suszarki zazwyczaj

potrzebują godzin, aby wysuszyć jeden wsad.

Nowa pralko-suszarka Signature firmy LG bez otworu wentylacyjnego może być urządzeniem, które wykona zadanie w rozsądnym czasie. Jeden wsad prania o wadze 4,5 kg można wysuszyć w 90 minut.

Robot-żółw z szerszymi aspiracjami

W tym roku trudno było na targach CES nie natknąć się na jakiegoś robota - czasami dosłownie, bo znane są z tego, że

potrafią wędrować między alejkami i holami.

O RoboTurtle firmy Beatbot nie można zapomnieć. To pływający żółw, naśladujący sposób poruszania się prawdziwych żółwi w wodzie. Zasilanie zapewnia mu pływanie na powierzchni i ładowanie baterii za pomocą paneli słonecznych. RoboTurtle służy do badań środowiskowych, do monitorowania raf koralowych i ryb w sposób mniej nachalny niż nurkowie czy łodzie podwodne.



Podręczne urządzenie do badania składu żywności



Minirobot „Turtini” wygląda jak żółw i ma za zadanie badać jakość wody oraz np. rafy koralowe



Inteligentne obroże dla psów. Jeszcze nie tłumaczą psiej mowy, ale wszystko przed nami

Oglądaliście serial „Niebo” na HBO? Ten wywiad może was zaniepokoić – i bardzo dobrze. Bo sekty rzadko wchodzą w życie ludzi przez religię czy wielkie deklaracje wiary. Zaczynają delikatnie: od obietnicy sensu, poczucia przynależności, bezpieczeństwa i bycia „kimś ważnym”. O mechanizmach psychomanipulacji, o tym, dlaczego w sektę może wpaść niemal każdy z nas, oraz dlaczego osoby, którym udało się z niej odejść, zamiast wsparcia często spotykają się z pogardą, opowiada psychoterapeuta Dariusz Pietrek

Jolanta Tęcza-Ćwierz

SERIAL „NIEBO” TO NIE FIKCJA. SEKTY BYŁY, SĄ I BĘDĄ, A W CZASACH KRYZYSU KOŚCIOŁA MAJĄ IDEALNE WARUNKI DO DZIAŁANIA

Czy problem sekt w Polsce jest nadal aktualny?

Jak najbardziej. Co więcej, wydaje mi się, że przy obecnym gigantycznym kryzysie Kościoła, szczególnie rzymskokatolickiego, problem sekt będzie narastał.

Co ma do tego Kościół katolicki?

Człowiek ma w sobie potrzebę przynależności, duchowości, a często także religijności i rytuału. Sekty to oferują – przynajmniej w wersji „pseudo”, jako coś zastępczego. Dziś, gdy mówi się o Kościele czy księżach, bardzo szybko pojawia się temat pedofilii, bo to właśnie skandale dominują w przekazie. Tymczasem sekty często oficjalnie deklarują bardzo wysokie normy etyczno-moralne, a człowiek potrzebuje autorytetu. Dla wielu młodych ludzi Kościół nie jest żadną atrakcją. Autorytetem staje się streamer, youtuber, tiktoker, celebryta. W takiej rzeczywistości sekty mają wręcz idealne pole do działania. Co ważne, bardzo często nie posługują się językiem religijnym, zamiast tego sięgają po terminologię psychologiczną czy psychoterapeutyczną, używają określonych słów, kluczy i haseł.

A konkretnie? Jakie mechanizmy psychomanipulacji stosują sekty, by przyciągnąć i utrzymać nowych członków? Na początku bardzo często jest to oferta zupełnie neutralna:

zaproszenie na spotkanie, koncert, odczyt czy wykład. Nierzadko łączy się to z innym elementem, na przykład z tzw. metodą flirtu. Do mężczyzn podchodzą kobiety, zapraszają na wydarzenie, a przy okazji nawiązuje się rozmowa. Gdy do mężczyzny podchodzi atrakcyjna kobieta, uruchamia się tzw. efekt kogucenia: klatka do przodu, piórka w górę i opowiadanie kompletnych bzdur. Zresztą to działa również w drugą stronę. Potem pojawia się zaciekawienie: „Fajna osoba, może się spotkamy, pogadamy, co mi szkodzi, to przecież za darmo”. Wreszcie zaczyna się delikatne bombardowanie miłością: „Cieszymy się, że jesteś”, „To naprawdę świetna grupa ludzi”, „Rozmawiamy o ciekawych sprawach”. To nie wygląda tak, jak niektórzy sobie wyobrażają, że ktoś podaje rękę i mówi: „Cześć, mam na imię Darek, jestem werbownikiem do sekty i chciałbym cię zwerbować. Będziesz u nas wykorzystywany fizycznie, psychicznie i finansowo. Spotykamy się w piątek o 16 na Długiej w Krakowie”. To są metody subtelne. Nie porusza się tematów Boga, zbawienia czy potępienia. Jest otwartość, akceptacja, radość z tego, że jesteś.

W skrócie mówiąc, sekty wykorzystują nasze potrzeby emocjonalne, społeczne i duchowe. A kto ich nie ma?

Wszyscy je mamy. Ale jak odróżnić zdrowe zaangażowanie religijne lub społeczne od manipulacji i izolacji charakterystycznych dla sekt?

Różnica między sektą a religią sprowadza się przede wszystkim do struktury władzy, stosunku do społeczeństwa i zakresu kontroli nad członkami. Religie są zazwyczaj otwarte, mają rozbudowaną hierarchię i są osadzone w tradycji. Sekty natomiast funkcjonują w sposób zamknięty, często koncentrują się wokół charyzmatycznego lidera, stosują manipulację – wzbudzanie poczucia winy, pranie mózgu – i dążą do izolowania swoich członków. Na początku komunikat bywa bardzo atrakcyjny: „Jesteśmy wyjątkową grupą. Mamy cel. Dążymy do Boga, prawdy, miłości. Jesteśmy dla siebie braćmi i siostrami”. A potem, bardzo powoli, metodą kropelkową, zaczynać doktrynę. Dochodzą nowe elementy, nowe rytuały. Miałem kiedyś pacjentkę, którą otrzeźwiła konkretna sytuacja. Ksiądz z katolickiej wspólnoty stworzył obrzęd przysięgi: na ołtarzu leżało Pismo Święte, ona położyła na nim rękę i miała przysięgać, że do końca życia będzie należeć do tej wspólnoty. I tu dotykamy kluczowej kwestii – wolności. W zdrowej wspólnocie nie musimy zrywać kontaktów z kimkolwiek, mogą prowadzić swoje życie, realizować różne aktywności. Nie musimy praco-

wać w instytucji prowadzonej przez daną grupę. W sektach zdarzają się wyznaczone małżeństwa, nakazy odcinania się od rodziny, zwłaszcza jeśli ktoś jest niewierzący albo należy do innej wspólnoty. W normalnej wspólnocie w każdej chwili mogę odejść, bez krytyki i potępienia. Inaczej jest choćby u Świadków Jehowy, gdzie funkcjonuje wykluczenie. Osoba, która odchodzi, skazana jest na całkowity ostracyzm: nikt nie porozmawia z nią nawet na ulicy. A przecież w zdrowej relacji mogę przynależeć i w każdej chwili odejść. Mogę się spotykać, dyskutować, zadawać trudne pytania, czytać różną literaturę – i to jest właśnie poczucie wolności. Oczywiście to poczucie wolności można pozornie podtrzymać, jednocześnie krok po kroku je odbierając. Jedną z metod werbunku nazywa się metodą salami. Dobre węgierskie salami najlepiej smakuje pokrojone w cieniutkie plasterki – im cieńsze, tym łatwiej je przełknąć. I dokładnie tak wygląda wkładanie komuś określonych treści do głowy.

Jak wygląda proces werbunku?

To nie jest proces masowy, tylko indywidualny. Werbownik nie musi znaleźć dziesięciu osób, jeśli znajdzie dwie, to już jest sukces. Przykładem był Kościół Zjednoczeniowy, który działał pod różnymi organizacjami fasadowymi, takim jak Stowarzyszenie Rodzin

na rzecz Pokoju Światowego czy Stowarzyszenie Studentów na rzecz Pokoju Światowego. Organizowali rozmaite spotkania, na które ludzie dostawali zaproszenia. Na przykład „wieczór japoński”: dwie Japonki, rzekomo z Uniwersytetu Tokijskiego – choć mam wątpliwości, czy kiedykolwiek były w Tokio – opowiadały o kulturze, tradycji, śpiewie. Przywoziły kimona, puściły japońską muzykę, ludzie zjedli sushi, porozmawiali. A potem uczestnicy dostawali zaproszenie na wyjazd do Głanowa na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, na tak zwany wieczór studencki. Z czym się pani kojarzy wieczór studencki?

Zimprezą.

Dokładnie. Grill, beczki z piwem, muzyka, zabawa. A na miejscu okazywało się, że nie ma ani grilla, ani piwa. Zamiast tego był wykład prowadzony przez „bardzo znaną osobę”. Tematy? Ekologia, rozwój wewnętrzny, rozwój osobowości, radykalne wybaczenie, medycyna totalna, medycyna niekonwencjonalna. Jeśli spośród kilku osób znalazła się jedna zainteresowana, słyszała: „Zostań. Mamy teraz szkolenie. Współpracujemy z twoją uczelnią, załatwimy usprawiedliwienie nieobecności”. I w ten sposób człowiek powoli wsiąkał.

Jak sekty wpływają na relacje rodzinne i społeczne takich osób?

Nadają życiu pseudosens. Proszę sobie wyobrazić codzienność: praca, w domu mąż, dziecko, którym trzeba się zająć, ugotować obiad, ogarnąć kolejne obowiązki. I nagle pojawia się ktoś, kto zaprasza na wykład, spotkanie albo koncert, gdzie mówi się o rzeczach „wyjątkowych”. A ludzie bardzo potrzebują poczucia wyjątkowości, chcą usłyszeć, że są kimś szczególnym. I wtedy ktoś mówi: „Jesteś wyjątkowa. Masz niesamowity dar. Ja to czuję – masz energię, masz moc. Możesz to robić. Możesz nam pomóc. Dzięki tobie życie wielu ludzi będzie wspaniałe”.

Słyszając to, też bym się nabrała.

Zawsze powtarzam: najważniejszym człowiekiem w twoim życiu jesteś ty. Nie mąż, nie dzieci, nie matka czy ojciec. Jezus Chrystus powiedział: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. Jeśli chcesz dobrze żyć, zacznij od siebie – zadbaj o swoje bezpieczeństwo, komfort, granice. Dopiero gdy potrafisz zadbać o siebie, będziesz umiała zadbać o innych.

I będę wtedy bezpieczniejsza, mniej podatna na te wszystkie czarujące słowa?

Tak, o ile jest to zdrowy mechanizm. Wtedy mam poczucie własnej wartości, wiem, kim jestem i co mam w sobie. Potrafię się bronić, bo nie boję



(FOT. MARCIN MAKOWSKI / HBO MAX)

Serial HBO MAX „Niebo. Rok w piekle” pokazuje działalność sekty Bogdana Kacmaja

się zadawać pytań. A tu pojawia się „mistrz”, „guru”, ktoś z piękną stroną internetową, organizujący obozy, wyjazdy, autor dwóch książek. Ktoś, kto „się zna” i posługuje się językiem, który nie do końca jest zrozumiały. Ale potrafi pociągnąć za sobą ludzi. A oni są w stanie zostawić wszystko, byle z nim być.

Brzmi tak prosto, że aż trudno uwierzyć, że działa.

Najprostsze narzędzia są najsukcesowniej. Właśnie dlatego działają. Gdy ktoś już jest w takiej organizacji, uruchamia się kolejny mechanizm: czarno-biały podział świata. My i oni. Metoda jest banalnie prosta – polaryzacja. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Dam przykład. Świadkowie Jehowy mieli zakaz organizowania zgromadzeń, więc zaczęli urządzać manifestacje, twierdząc, że ogranicza się ich prawa. Wiedzieli, że wtedy musi zareagować policja. A gdy policja się pojawiała, pokazywali to jako prześladowanie „dla imienia Bożego”, powołując się na Ewangelię: „Będziecie prześladowani dla imienia mojego”. Proste, prawda?

Można się obronić? Jakie są metody profilaktyki wobec manipulacji sekt?

Manipulować można każdym. Jedynym realnym mechanizmem obrony jest wiedza, ale nie ta z internetu czy wygene-

rowana przez sztuczną inteligencję, tylko wiedza z książek pisanych przez fachowców. Często jestem zapraszany do szkół i pytam uczniów: „Czy was dałoby się wciągnąć do sekty?”. Zwykle odpowiadają: „Nie, nigdy, bo ktoś musiałby mówić o Bogu”. Wtedy pytam: „A czy można wami manipulować?”. Odpowiadają, że tak. I wtedy mówię: „Właśnie dlatego można was wciągnąć do sekty, bo werbunek to forma manipulacji”. Metod jest wiele, bo ludzie mają różne potrzeby i różne deficyty. Dlatego trzeba nauczyć się weryfikować, myśleć samodzielnie, a bez rzetelnej wiedzy po prostu się nie da.

Jak często spotyka się pan z osobami, które potrzebują pomocy po pobycie w sekcie albo w związku z próbą werbunku?

Odbieram miesięcznie około 10-15 telefonów w sprawie dorosłych osób zaangażowanych w tego typu grupy. Niestety, pomoc w takich przypadkach jest bardzo ograniczona. Dzwonią zaniepokojone rodziny, często rozgoryczone brakiem narzędzi prawnych pozwalających „wyciągnąć” bliskich z sekty. Wynika to z faktu, że są to osoby pełnoletnie, chronione obowiązującym prawem. Kiedy dzwoni do mnie matka i mówi: „Mój syn ma 32 lata, wszedł do takiej grupy, co ja mam zrobić?”, odpowiadam wprost: to jest

dorośli człowiek, to jego decyzja. W 1992 roku założyłem Śląskie Centrum Informacji o Sektach i Grupach Psychomanipulacyjnych w Katowicach. Gdy rozpoczęły się bardzo poważne prace nad ustawą o ochronie i przeciwdziałaniu prześladowaniom chrześcijan w kraju, a jednocześnie nie było żadnego realnego zainteresowania tą tematyką ze strony Kościoła, państwa czy prawa, doszedłem do wniosku, że nie chcę być utożsamiany z działalnością środowisk skrajnie prawicowych. Przez lata czułem się jak Don Kichot, pozbawiony jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz. W efekcie w 2022 roku podjąłem decyzję o zamknięciu Centrum.

I tak długo pan wytrzymał.

Może jestem uparty, a może kierowała mną chęć pomagania ludziom. Mimo że Centrum zostało zamknięte, nadal odbieram telefony i staram się pomagać, bo zwyczajnie nie ma dokąd tych ludzi odesłać. Ośrodki dominikańskie, które kiedyś działały w Polsce, w większości zostały zlikwidowane. Pracujący tam ludzie najpewniej mieli podobne poczucie co ja – że to walka z wiatrakami.

Skąd ten brak zainteresowania, skoro, jak pan mówi, sekty wciąż są realnym problemem?

Musiłoby wydarzyć się coś spektakularnego. Ktoś musiałby kogoś zabić, uprowadzić dziecko, musiałoby dojść do rytualnego samobójstwa. Jeśli jakiś temat staje się medialny, media rzucają się na niego jak hieny, bo da się na nim zarobić. Natomiast to, że ludzie tracą majątki, że rozpadają się małżeństwa, że matki porzucają małe dzieci, bo poznały jakiegoś guru – to już nikogo nie interesuje. Sam problem nie jest medialny – sekty były, są i będą. Na Śląsku w latach 1996-2002 mieliśmy potężną falę zainteresowania okultyzmem, ezoteryką, a zwłaszcza satanizmem. W 1996 roku nieżyjący już Roman Kostrzewski odprawił pierwszą czarną mszę na wieży Bismarcka w Jarocińcu i zaczęła się moda na satanizm. Niektórzy księża ostrzegali przed tym zjawiskiem, ale temat naprawdę ruszył dopiero wtedy, gdy w Rudzie Śląskiej dwoje młodych ludzi w bestialski sposób zamordowało dwoje swoich przyjaciół podczas odprawiania rytuału satanistycznego w bunkrach. Pentagram do dziś jest tam wymalowany na podłodze. Później pojawiło się larum wokół napływu różnych wspólnot hinduistycznych i buddyjskich: ruchu Hare Kryszna, Misji Czaitanii, działalności Ole Nydahla, który wprowadzał w Polsce buddyzm tybetański szkoły Karma Kagyu jako nauczyciel medytacji. Wytwo-

rzył się front, według którego wszystko, co niekatolickie, było sektą. Zielonoświątkowcy, baptyści, wolni chrześcijanie – wszyscy trafiali do jednego worka. Granice się otworzyły, rzeczywistość się zmieniła, zaczęli napływać ludzie i idee. A od tamtego mordu satanistycznego, który był niezwykle silnym akcentem, rozpoczęła się w pewnym sensie nagonka na wszystko, co niekatolickie. Dziś pracuję jako psychoterapeuta i nie jest tak, że obraziłem się na państwo, Kościół czy ludzi. Absolutnie nie. Po prostu doszedłem do wniosku, że ta formuła się wyczerpała, zwłaszcza że nikt nie udzielił mi pomocy w momencie, gdy ja i moja rodzina byliśmy prześladowani przez sektę. Zainteresowanie moją sytuacją wykazał redaktor „Gazety Wyborczej” Marcin Pietraszewski, a pomoc w kwestiach prawnych otrzymałem od księdza arcybiskupa Damiana Zimonia.

Jak w społeczeństwie postrzegani są byli członkowie sekty?

Alkoholik, który podjął leczenie, bywa postrzegany jak bohater, który odrzuca nałóg i zmienia swoje życie. Z narkomanem jest podobnie. Natomiast człowiek, który był w sekcie, najczęściej uchodzi za idiotę. Pojawia się myślenie: „Jak można było dać się wkręcić w takie bzdury? Trzeba być kompletnym debilem”.

Ostatnio, za sprawą serialu HBO, głośno zrobiło się o sekcje „Niebo”, opisanej przez Sebastiana Kellera. Czym się charakteryzowała?

Zbór Leczenia Duchem Świętym „Niebo” to wspólnota wyznaniowa działająca w Polsce od 1990 roku w Majdanie Koźłowieckim, kierowana przez Bogdana Kacmaja. Działała w niej rzeczy dziwne i realnie niebezpieczne. Członkowie byli przekonani o swojej wyjątkowości i szczególnej bliskości z Bogiem. Nie szczepili się, nie wykonywali badań profilaktycznych, a ich dzieci nie chodziły do szkoły. Gdy policja próbowała wejść na teren wspólnoty, słyszała groźby, że wszyscy się spalą jak Gałąź Dawidowa. W „Niebie” fascynująca jest obsesja na punkcie imion. Nazwa sekty też nie wzięła się „z nieba”, tylko od słów „Nie” i „Bo” – żony i męża. Ludzie nazywali się „Apartament nr 8” czy „I Śrubokręt Nie Pomoże”. To najlepiej pokazuje, jak ogromny wpływ Kacmaja miał na tych ludzi. Ale takie historie nie są wyjątkiem. Podobne rzeczy działy się i dzieją w wielu sektach: narkotyzowanie, wykorzystywanie seksualne, uwodzenie, przejmowanie majątków...

Jak wygląda proces psychicznego „odczepiania się”

od grupy, gdy ktoś już z niej wyszedł?

To temat co najmniej na trzytomową książkę. Po pierwsze, musi pojawić się kryzys, czyli pytania: dokąd ja idę, co się dzieje, o co w tym wszystkim chodzi. Człowiek zaczyna dostrzegać rozdzźwięk między tym, co się mówi, a tym, co faktycznie się dzieje. Ktoś jest bliżej lidera, ktoś dalej, jedni mają przywileje, inni muszą robić więcej. Pojawia się krytycyzm. Dopóki ktoś jest zafascynowany i zauroczony, nic do niego nie dociera. Na tym etapie nie da się pomóc. To trochę jak z nieszczęśliwym zakonchaniem, kiedy logika nie działa, a emocje buzuja. Gdy przychodzi kryzys, pojawia się konflikt lojalności: „Ten człowiek prowadził mnie do Boga, do zbawienia, do pełni osobowości. To moi przyjaciele, spędziłem z nimi dwa lata. Zerwałem kontakt z rodziną, straciłem pieniądze, a teraz mam tak po prostu odejść? Pracę załatwili mi ludzie z tej wspólnoty, pomogli mi z mieszkaniem. Może to oni mają rację? Może mówią prawdę? A może to ja jestem pod wpływem szatana?”. Wychodzenie z sekty to proces i absolutnie nie może być w nim presji ani poganiania. Człowiek musi sam dojść do tego, co się z nim dzieje, pozwoli, krok po kroku. W którymś momencie przychodzi do rodziny i mówi: „Byłem naiwny, łatwowierny, zaufałem tym ludziom. Przepraszam”. I wtedy zaczyna się powolna odbudowa. Rodzina może zrobić bardzo dużo: nie zrywać kontaktu, nie obrażać się, ale też nie nawracać na siłę i nie deprecjonować tamtej grupy. To proces niezwykle delikatny.

I zapewne długotrwały.

Jeden ze znawców tematu powiedział kiedyś, że wychodzenie z sekty trwa tyle samo, co pobyt w niej. Nie do końca się z tym zgadzam, ale jedno jest pewne – to proces powolny i wymagający ogromnej cierpliwości. Pośpiech jest tu najgorszym doradcą.

CV



FOT. ARCHIWUM

Dariusz Pietrek

Psychoterapeuta, założyciel i wieloletni szef Śląskiego Centrum Informacji o Sektach i Grupach Psychomanipulacyjnych, członek Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, specjalista terapii osób będących w sektach.

ANDRZEJ KONOPKA: MAM RYSY GAGATKA, DLATEGO JESTEM OBSADZANY W ROLACH DRANI

Mówi się o nim, że jest mistrzem drugiego planu. I faktycznie: ma na koncie ponad setkę tego typu ról. Potrafi je jednak zamienić w prawdziwy aktorski majstersztyk, tak jak we wchodzącej właśnie na ekrany kin „Wielkiej Warszawskiej”. Nam Andrzej Konopka opowiada o swojej krętej drodze do filmowych sukcesów

Patryk Gzyl

Jest Pan obecnie na fali. Na ostatnim festiwalu w Gdyni pojawiły się trzy filmy z Pana udziałem, a do tego dostał Pan nagrodę dla najlepszego aktora drugoplanowego w jednym z nich. Skąd akurat teraz taka dobra passa?

Cykl produkcyjny filmów polega na tym, że te rzeczy, które się aktualnie kręci, pojawiają się w kinach dopiero po jakimś czasie. I tak się stało w tym roku, że nastąpiła kumulacja produkcji, w których miałem przyjemność brać udział. Stąd to wygląda, że teraz jest mnie tak dużo. Generalnie pracuję cały czas w tym samym rytmie, choć może ostatnie lata są dla mnie bardziej łaskawe. Mam jednak nadzieję, że widzowie nie będą mieli wrażenia, że otworzą przyszłowiową lodówkę, a ja z niej wyskoczę i powiem „dzień dobry”.

Po ponad 25 latach grania dopiero teraz został Pan doceniony.

Czasem dziennikarze pytają mnie: „Co pan robił przez te wszystkie lata, że dopiero teraz został odkryty?”. (śmiech) Tymczasem ja przez 25 lat uprawiania tego zawodu nie miałem poczucia, że jestem odstawiony na boczny tor i nie mam co robić. Cały czas aktywnie uczestniczyłem najpierw w życiu teatralnym, a potem też i filmowym. Byłem więc i jestem dosyć zajętyym aktorem. Teraz zrobiło się tylko o mnie głośniejsze ze względu na nagrodę w Gdyni. I fajnie było ją dostać, bo jest potwierdzeniem słuszności

drogi życiowej, którą kiedyś wybrałem.

Najnowszy z Pana filmów to „Wielka Warszawska”. Jego akcja rozgrywa się na początku lat 90. Wchodził Pan wtedy w dorosłość. Jak Pan zapamiętał tamte czasy?

Zagrałem też niedawno w serialu „Heweliusz”, którego akcja również rozgrywa się na początku lat 90. Miałem więc okazję przypomnieć sobie dokładnie tamten okres. To był absolutnie szalony czas w Polsce dla mojego pokolenia: z jednej strony mentalnością i nawykami kulturowymi tkwiłmy jeszcze w peerelu, a musieliśmy się szybko przystosować do drapieżnego kapitalizmu. Wszystko to zaczęło się więc mieszać i dopiero po wejściu do Unii Europejskiej staliśmy się naprawdę częścią Zachodu.

Pana bohater jest dzieckiem tamtych czasów – to drobny cwaniaczek Kaparski, który robi interesy na torze wyścigowym na Służewcu. To była wdzięczna postać do zagrania?

Filmy i seriale o latach 90., które obecnie powstają, to już właściwie kostiumowe produkcje. Tak było w przypadku mojego bohatera – charakterystyczna kamizelka, którą nosi, to symbol mody tamtych czasów. Mało tego: grając postacie z lat 90., możemy sobie pozwolić na ekranie na zachowania, które dziś nie są już tolerowane ze względu na zmiany kulturowe, które zaszły u nas i na świecie, jak feminizm czy

ruch #meetoo. Używamy też w tych filmach sformułowań, jakie wtedy były na porządku dziennym, a dziś nie są mile widziane. Kaparski i inne postacie z „Wielkiej Warszawskiej” to typy z pogranicza świata przestępczego, ale pochłonięte wielką pasją do koni – i takie postacie gra się zawsze z przyjemnością.

„Wielka Warszawska” zamyka trylogię scenariuszową Jana Purzyckiego, którą tworzą „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”. Inspirował się Pan trochę postaciami i aktorstwem z tamtych filmów?

Oczywiście. Kiedy kończyłem krakowską szkołę teatralną, mogłem oglądać w Teatrze Starym takich aktorów, jak Jan Nowicki czy Jan Frycz, będących wtedy u szczytu swych możliwości. Również w filmach, które wtedy kręcili, widać wielką pasję, z jaką podchodzili do aktorstwa. Dlatego to była dla mnie wielka inspiracja.

Ma Pan na swoim koncie niezliczoną ilość tego rodzaju szemranych typków. Wypracował Pan już stały klucz do tego typu postaci, czy do każdej podchodzi z trochę innej strony?

TERAZ ZROBIŁO SIĘ O MNIE GŁOŚNIEJ ZE WZGLĘDU NA NAGRODĘ W GDYNI. I FAJNIE BYŁO JĄ DOSTAĆ, BO JEST POTWIERDZENIEM SŁUSZNOŚCI MOJEJ DROGI ŻYCIOWEJ

Gdybym zaczął posługiwać się sprawdzonymi trikami w budowaniu swych ról, to byłby początek mojego końca jako aktora. Grając takie postacie z marginesu, podchodzę do nich indywidualnie i staram się zawsze zrozumieć człowieka. Jeżeli on nawet robi coś, co nie jest do końca dobre i słuszne, to próbuję znaleźć jego motywację. Aktorzy nazywają to „bronieniem postaci”. Nawet grając najgorszego zwyrodnialca, szukamy tej życiowej sprężyny, która go napędza. To może być trudne dzieciństwo, ciężka sytuacja ekonomiczna czy nieszcśliwa miłość, czyli wszystko to, o czym teraz rozmawia się na sesjach psychoterapeutycznych. (śmiech) Przy każdej roli jest to więc indywidualna historia.

Często mówi Pan, że o podjęciu się zagrania w jakimś filmie decyduje to, czy lubi pan ludzi, którzy go tworzą. „Wielka Warszawska” stworzyła Panu okazję do takich spotkań?

Tak. Im jestem starszy, tym bardziej cenię sobie w moim zawodzie spotkania z niesamowitymi ludźmi. Tutaj też tak było. Reżyserujący film Bartek Ignaciuk wywodzi się ze sztuk pla-

stycznych i „Wielka Warszawska” jest jego filmowym debiutem. Od grafiki przez reklamy trafił wreszcie do kina. Praca z kimś takim, kto przychodzi z innych rejonów sztuki, była dla mnie bardzo ciekawa. Trzeba tu też wspomnieć o wspaniałych spotkaniach aktorskich. Film rozgrywa się w latach 90. i grają w nim koledzy, którzy brali je na klatę – Grzegorz Warchoń, który kapitalnie wciela się w spikera z torów służewieckich, Mirek Kropielnicki, Tomasz Sapryk czy Ireneusz Czop. Świetnie sprawdził się też młodzi aktorzy: Tomek Ziętek, który jest już gwiazdą, i Mary Popławska, którą za chwilę kino odkryje na dobre.

Osobnym bohaterem „Wielkiej Warszawskiej” jest też tor wyścigów konnych na Służewcu. Jakie to było dla Pana spotkanie?

Mieszkam w stolicy już ponad 20 lat, ale na torze służewieckim stanąłem przy okazji filmu pierwszy raz w życiu. To magiczne miejsce. Znajduje się prawie w samym centrum Warszawy, na granicy Mokotowa i Ursynowa. Tam jest kilkadziesiąt hektarów zielonego terenu – tor galowy, na którym odbywają się gonitwy, i tor treningowy, ale też małe bloki, w których mieszkali niegdyś dżokeje i trenerzy. Czyli to kompletnie osobny i wyizolowany świat, który trochę zatrzymał się w czasie. Wszystko to jest eleganckie i zadbane, aż dziw, że żaden deweloper nie położył na tym łapy. Kiedyś przeczytałem w gazecie, że jeden z bohaterów serialu „Jan Serce” mówi, iż prawdziwy Warszawiak pamięta w życiu trzy daty: swoich urodzin, Powstania Warszawskiego i Wielkiej Warszawskiej. Wielka Warszawska to najbardziej prestiżowa gonitwa konna, która odbywa się co roku wczesną jesienią na torze służewieckim, w której nagrodę wręcza osobiście prezydent stolicy. Poszedłem kiedyś na tę gonitwę i zobaczyłem, że tam ciągle panuje duch dawnych czasów. Na trybunie honorowej panie są w eleganckich sukniach i kapeluszach, a panowie w marynarkach w kratę i z laseczkami. Bardzo to fajne.

Zupełnie inną postać miał Pan niedawno do zagrania w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy”, za którą dostał Pan nagrodę w Gdyni. To była rola warłowiaka, na którą czekał Pan tyle lat?

Hubert Raban to z jednej strony twardziel i despota, a z drugiej ktoś wrażliwy i skrzywdzony przez życie. Najpierw poznajemy go od tej ciemnej strony, dopiero z czasem staje się jasne, że musiał założyć swego rodzaju pancerz, aby poradzić sobie z samotnym wychowaniem dwóch dorastających synów. I ja próbowałem pokazać, że

tacy wásacze, dzisiaj odsądzeni często od czci i wiary, też mają niepokazywane nigdy pokłady jakiejś subtelności i wrażliwości. Tylko coś dramatycznego wydarzyło się w ich życiu, że są trudnymi i złośliwymi ludźmi.

Wielu widzów zobaczyło w Rabanie własnych ojców. Jeden z krytyków napisał nawet, że to „ojciec nas wszystkich”. Jak się Panu udało uchwycić uniwersalność tej postaci?

Może jestem totalnym polskim everymanem? (śmiech) Moje doświadczenia życiowe są doświadczeniami całego pokolenia ludzi urodzonych w latach 60.? Bo grając tę rolę, nie zakładałem, że zagram ojca wszystkich Polaków, ponieważ od razu bym poległ. (śmiech) Po prostu starałem się włożyć w tę postać moją wrażliwość i moje postrzeganie świata. Jeżeli wyszło tak, jak wyszło, to tylko mi miło.

Hubert Raban ma w Pana wykonaniu komediowy rys. To występy w kabarecie literackim Pożar w Burdelu dały Panu łatwość w sięganiu po taką energię?

Na pewno Pożar w Burdelu był dla mnie czymś przełomowym. Tak się bowiem składa, że w Polsce nie docenia się takich gatunków, jak komedia czy kabaret. Oczywiście poziom tych ostatnich, a zwłaszcza pokazywanych w telewizji, bywa różny. Są jednak wyjątki. Komedię się jednak nie docenia, czego przykładem to, że wspinały film „Teściowie”, który uchwycił w wyjątkowy sposób prawdę o Polsce i Polakach, nigdy nie został pokazany na żadnym prestiżowym festiwalu i nie dostał żadnej nagrody. Pożar w Burdelu wynikł z mojego przypadkowego spotkania z Michałem Walczakiem i Maksem Łubieńskim. Dopiero z czasem rozkręciło się to w coś wielkiego, co przeszło do warszawskiej legendy. Występy w tym kabarecie uświadomiły mi, jak ważne może to być dla odbiorców i jak może rozwijać aktora. Bo z czasem czuję się w tym zawodzie potrzebę pozbycia się psychologicznego ciężaru w budowaniu roli. Kabaret pokazał mi, że można podejść grania z dystansem i w żartobliwy sposób. I właśnie to wykorzystałem na planie „LARP-u”.

Reżyserem tego filmu jest Kordian Kądział, współtwórca słynnego serialu „1670”. Miał Pan więc świetny materiał w scenariuszu.

Aktorzy mają na planie tendencję do upraszczania swych kwestii, zmieniania szyku zdań czy zastępowania jednych słów drugimi, aby w ten sposób kwestie lepiej im „leżały” w ustach. Tymczasem Kordian bardzo pilnował frazy, którą wymyślił wspólnie z Michałem Wawrzeckiem przy biurku. Po-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Andrzej Konopka: Gdybym zaczął posługiwać się sprawdzonymi trikami w budowaniu swych ról, to byłby początek mojego końca jako aktora

czątkowo byłem zaskoczony, że tak restrykcyjnie tego przestrzega, ale potem, kiedy zobaczyłem film, okazało się, że oni to doskonale wymyślili. Kiedy gra się komedię w teatrze, od razu wiadomo, czy się jest śmiesznym, bo albo ludzie się śmieją, albo nie. A na filmowym planie właściwie jedynym widzem jest reżyser. Aktor nie ma więc gwarancji, że wygłaszając kwestię ze scenariusza, widownia potem wybuchnie w kinie śmiechem. Stąd dopiero kiedy obejrzałem „LARP-a” z innymi widzami, stało się dla mnie jasne, że te kwestie były bardzo dobrze skonstruowane. To były same pomysłowe anegdoty z konkretną kulminacją i puentą, których faktycznie nie powinno się było zmieniać. To spowodowało lżejszą nutę w mojej roli i w całym filmie.

Akcja „LARP-a” rozgrywa się w małym miasteczku. Pan pochodzi z jednego z najmniejszych miast w Polsce – Wyśmierzyc. Odnalazł Pan w tym filmie atmosferę swojego dzieciństwa?

Ja jestem raczej z pokolenia harcerskich podchodów niż z pokolenia tych LARP-owych gier. (Śmiech) Ale faktycznie ten mikrokosmos, który widzimy w filmie, to kiedyś też był mój

świat. Poza tym, główny bohater, grany przez Filipa Zarembe, to chłopak w okresie burzy i naporu, który przeżywa nieszcześliwą miłość i boi się wyjść do świata ze swoją wrażliwością – czyli taka postać, w której każdy, kto już przeżył taki czas w życiu, może się odnaleźć. Kiedy rozmawiam z ludźmi o tym filmie, okazuje się, że wielu z nas miało w młodości podobne problemy.

To właśnie w takim wieku odkrył Pan w sobie marzenie o aktorstwie?

Pierwszą myśl o aktorstwie miałem pod koniec ogólniaka, który kończyłem w Radomiu. Występowałem wtedy w uczniowskim kabarecie i miałem tam dwa monologi, które podczas studniówki spotkały się z entuzjastycznym odbiorem moich kolegów. Wtedy po raz pierwszy zakiełkowała w mojej głowie myśl, aby pójść dalej tym tropem. Porzuciłem ją jednak natychmiast, bo nawet nie wiedziałem wtedy, co trzeba zrobić, żeby zostać aktorem. Dopiero potem zacząłem drażnić temat i postanowiłem zdawać do szkoły teatralnej. Nie udało się, ale odkryłem kompletnie dla mnie nieznaną i magiczną sferę, rządzoną prawami, o których nie miałem pojęcia. Dlatego walczyłem

do skutku. Zdawałem i zdawałem, aż mając 25 lat, udało mi się dostać do wymarzonej szkoły teatralnej w Krakowie.

Po drodze zaliczył Pan pracę nauczyciela WF-u. Co sprawiło, że poszedł Pan w tę stronę?

Moja mama była nauczycielką, co miało duży wpływ na tę decyzję. Była to jednak jedna ze ślepych dróg w moim życiu zawodowym. (Śmiech) Kiedy po maturze nie udało mi się dostać do szkoły teatralnej, za bardzo nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, a życie przecież nie znosi pustki. Dlatego skończyłem dwuletnie studium nauczycielskie w Radomiu i uczyłem w Warszawie w szkole podstawowej WF-u przez rok. Placówka ta mieściła się w budynku przy ulicy Emilii Plater obok hotelu Marriott, który w latach 90. był symbolem luksusu. Dziś tam, gdzie była ta szkoła, jest Teatr Komuna Warszawa, gdzie gram w spektaklu „Święta Kluska”. W efekcie dwa lata temu wystąpiłem jako aktor na tej samej sali, na której niegdyś uczyłem WF-u. (Śmiech)

Nie odnajdywał się Pan w roli nauczyciela?

To, że ja się nie odnajdywałem, to pół biedy. Gorzej, że dyrekcja i uczniowie również. (Śmiech)

Po studiach początkowo skoncentrował się Pan na teatrze, dopiero potem zaczął grać w filmach i serialach. W którym z tych światów lepiej się Pan czuł?

U nas na rynku aktorskim większość z nas ma korzenie teatralne, bo system szkół państwowych przygotowuje przede wszystkim do pracy w teatrze. Film jest więc zazwyczaj opcją drugiego wyboru. Ja kończyłem szkołę w czasach, kiedy wydawało się, że kiedy nie ma się etatu w teatrze, to jest się skazanym na zawodowy niebyt. Dlatego początkowo starałem się załapać do Starego Teatru, ale moje talenty nie spotkały się z uznaniem jego ówczesnej dyrekcji. Poszedłem więc z Mikołajem Grabowskim do Teatru Nowego w Łodzi, gdzie spędziłem cztery lata i był to świetny czas, jeśli chodzi o mój rozwój zawodowy. Potem ożeniłem się i stwierdziliśmy z żoną, że będziemy szukać szczęścia w Warszawie. Wówczas uchwyciłem tę filmową nitkę i zacząłem ją powoli ciągnąć. I tak to się do dziś plecie.

Najczęściej pisze się o Panu „mistrz drugiego planu”.

Nie obraża się Pan o to?

Ależ skąd. Gram dużo i dzięki temu mam szansę na wspaniałe spotkania z wieloma znakomitymi artystami. Nie wiem, jak oni ode mnie, ale ja od nich zawsze coś biorę, czy to na uprawianie zawodu, czy to na zwykłe życie. Faktycznie często występuję na drugim planie, ale daje mi to dużą satysfakcję, choć oczywiście mam też chęć częstszego zaistnienia na pierwszym planie. Prawda jest jednak taka, że właśnie na drugim planie jest największa konkurencja i trzeba się naprawdę czymś wyróżnić, żeby zostać dostrzeżonym. (Śmiech)

W jednym z wywiadów powiedział Pan: „Jestem uosobieniem zła w polskim kinie: pałę, gwałce, zdradzam”. Skąd się to wzięło?

(Śmiech) To chyba moja surowa uroda wnosi na ekran. Mam rysy gagatka, dlatego jestem obsadzany w rolach różnego rodzaju drani. Efekt jest taki, że kiedy informuję w domu, w jakiej nowej roli zostałem obsadzony, moja żona i dzieci pytają: „Znowu? Dlaczego?”. (Śmiech)

Niedawno wcielił się Pan w głównego bohatera filmu „Hot Spot” – nowego dzieła pana żony Agnieszki Smoczyńskiej. To międzynarodowa produkcja, której premiera dopiero przed nami. Co to będzie?

Wiem, że to nie brzmi najlepiej, iż zagram głównego bohatera u swojej żony, ale taka jest prawda. Miałem tam za partnerki znakomite aktorki z in-

nych kręgów kulturowych: Noomi Rapace ze Szwecji czy Reiki Kirishimę z Japonii. I to były wspaniałe spotkania z odmienną od mojej wrażliwością. Film będzie miał premierę w 2026 roku. To połączenie post-apokaliptycznego science-fiction z horrorem i elementami... musicalu. Bardzo jestem ciekaw, co widownia na to powie.

Jak się udało zaangażować polskiego aktora do takiej międzynarodowej produkcji?

Cóż, istnieję przecież od ponad dwóch dekad w aktorskim obiegu. Pewnie inaczej byłoby, gdybym był kimś anonimowym. Reżyserka twierdzi, że po „morderczym” castingu okazało się, iż mam wszelkie predyspozycje, aby zagrać tę rolę i dlatego mnie w niej obsadziła. Nie wchodzi tu w grę żaden nepotyzm. Agnieszka nakręciła już kilka filmów, a ja zagrałem tylko w jednym z nich. Do pozostałych nie miałem odpowiednich „papierów”, czyli nie pasowałem do roli. Tutaj było inaczej, więc po przeczytaniu scenariusza mogłem tylko powiedzieć „tak”. Miałem oczywiście mnóstwo obiekcji i lęków, ale ostatecznie mam nadzieję, że poszło dobrze.

Gdzie powstawały zdjęcia?

Ekipa była międzynarodowa, ale kręciliśmy w Grecji. Po dwóch miesiącach spędzonych w tym kraju uznałem, że Polacy mają bardzo wiele wspólnego z jego mieszkańcami. Przede wszystkim bardzo potrzebny na planie zmysł improwizacji. Grecy są bardzo otwarci na innych, afirmują przyrodę, są dumni, że mają dostęp do morza i każdy z nich spędza co najmniej miesiąc w roku na jakiejś wyspie, ciesząc się słońcem i wodą. Czuje się tam też niesamowity ciężar kultury antycznej.

Jak się Panu pracowało na planie?

Poza reżyserką i mną z Polski byli też operator Kuba Kijowski, kostiumografka Kasia Lewińska i scenografka Anka Anosowicz ze swoimi asystentami i asystentkami. Agnieszka robi nieoczywiste filmy. Ona opowiada rzadko takie historie, które ktoś przeczyta na papierze i od razu powie „OK, robimy to”. Początkowo jej pomysły wydają się dość zaskakująco i cały ambaras polega na tym, żeby tą wizją zarazić kilkadziesiąt osób, które mają przy filmie pracować, przekonać ich, że stworzenie tego niezwykłego świata, jest możliwe, że będzie to działać i ludzie będą chcieli to oglądać. Agnieszka ma taką umiejętność, co jest jej wyjątkową cechą jako reżyserki.

Pewnie film jest po angielsku. Jak się Panu grało w obcym języku?

Kiedyś przeczytałem, że mówiąc w innym języku, jesteście trochę inną osobą. I to prawda. Niedawno grałem u Marcina Koszałki w filmie „Biała odwaga” i musiałem tam mówić gwaraą góralską. Mieliliśmy co prawda wspaniałego konsultanta Jana Karpiela-Bułęckę, który uczył nas wymawiać wszystkie kwestie po góralsku, ale dla mnie, mieszkanka Mazowsza, gwara ta była tak osobna i hermetyczna, że miałem wrażenie, iż gram w obcym języku. W „Hot Spot” opowiadana historia pozwalała na to, abym ja mówił po angielsku z polskim akcentem, japońska aktorka po angielsku z japońskim akcentem, a szwedzka po angielsku ze szwedzkim akcentem. To mnie zwalniało z obowiązku udawania, że jestem z Waszyngtonu czy z Nowego Jorku i mówię płynnie po amerykańsku. Nawet czasem specjalnie podkreślałem ten polski akcent. I to było bardzo fajne.

Niebawem zobaczymy Pana również w nowym filmie Kasi Adamik – „Zima pod znakiem wrony”.

To było inne doświadczenie. Grałem tam z wybitną angielską aktorką Leslie Manville. I miałem tę łatwość, że wcielałem się w Polaka, który ani w ząb nie rozumie po angielsku. Ona grała w swoim języku i próbowała mi coś przekazać. Obserwując ją w dramatycznych scenach i widząc, jakie środki ekspresji stosuje, zrozumiałem, że są one zupełnie inne niż u mieszkańców tej części Europy, z której pochodzą Polacy. Dlatego nasi aktorzy nie mają szans na to, aby grać rodowitych Anglików czy Amerykanów w tamtejszych filmach – tylko są skazani na rolę emigrantów z Rosji czy z Polski.

Na koniec zapytam Pana o córkę, bo z tego, co wiem, studiuje w warszawskiej Akademii Teatralnej. To było nieuniknione?

(Śmiech) Jakoś tak wyszło. Ona w pewnym momencie zakomunikowała nam, że chce zdawać do szkół teatralnych. Podjęła taką decyzję i była w tym bardzo konsekwentna. Wcześniej chodziła na jakieś warsztaty i brała udział w półprofesjonalnych przedstawieniach w Teatrze Ochota, ale nie myśleliśmy, że będzie dalej chciała iść tym torem. Znalazła sobie jednak sama osobę, która świetnie przygotowała ją do egzaminów i faktycznie jest teraz na drugim roku warszawskiej Akademii Teatralnej. Co z tego wynika – zobaczymy w przyszłości. Nigdy wcześniej bym nie pomyślał, że może kiedyś zagram w jednym spektaklu czy filmie z córką. A teraz, jeśli by się coś takiego przytrafiło, to oczywiście nie powiem nie. (Śmiech)

Prof. Irena Matus jest strażniczką tradycji i historii. Do wyjątkowej Krainy Otwartych Okiennic, na skraju wsi Puchły, przenoszone są przy jej udziale zabytkowe budynki. Jeden z nich zyskał miano Najlepiej Zachowanego Zabytku Wiejskiego Budownictwa Drewnianego w Województwie Podlaskim 2025

Magda Ciasnowska

SKUPUJE STARE DOMY, BY ZACHOWAĆ JE DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ

Cerkiew Opieki Matki Bożej w Puchłach to obiekt, który co roku przyciąga tysiące turystów. Nie wszyscy jednak wiedzą, że tuż obok okazałej świątyni powstaje miejsce, które już wkrótce ma szansę stać się ważnym punktem na turystycznej mapie regionu.

To właśnie tu, do skansenu „Dawne Podlasie”, ze wsi Kotły nieopodal Bielska Podlaskiego został przeniesiony wyjątkowy dom z 1868 roku.

- Zachował się cudem. A właściwie to cuda były dwa. Pierwszy w sierpniu 1915 roku, kiedy wycofujący się Rosjanie zastosowali taktykę spalonej ziemi. To była wielka tragedia. Ludzie byli zmuszeni opuszczać swoje domostwa i te na ich oczach były palone. Dlatego takich domów zachowało się bardzo mało. Ten jednak miał szczęście, bo gospodarze nie zdążyli wyjechać - zawróciło ich wojsko niemieckie i zostali u siebie - opowiada prof. Irena Matus.

Drugi cud wydarzył się kilka lat temu, kiedy pani Irena wraz z mężem i synem przemierzali Podlasie w poszukiwaniu zabytkowych domów i trafili właśnie na ten budynek. Gdy zobaczyli czterospadowy dach, od razu wiedzieli, że jest to obiekt sprzed pierwszej wojny światowej. Później, po zerwaniu wielu warstw tapet, odsłoniła się oryginalna data poświęcenia budynku.

- Na szczęście udało się go ocalić przed zaplanowaną już rozbórką na opał. To naprawde



Prof. Irena Matus tworzy we wsi Puchły (pow. hajnowski) skansen „Dawne Podlasie”

perełka i bardzo się cieszymy, że udało się nam ją kupić i ocalić - podkreśla prof. Matus.

Wnętrze chaty zostało odtworzone na podstawie powstałych w połowie XIX wieku rysunków Celestyna Brena.

- Wszystko co tu mamy, jest albo oryginalne, albo bardzo precyzyjnie odwzorowane. Nawet stoły zrobiliśmy ze 150-letnich desek - zdradza pani Irena.

Wnętrze zachowuje tradycyjny układ przestrzenny wiejskiego domu, obejmujący izbę

mieszkalną, sień, komory oraz pomieszczenia pomocnicze. Dom wyposażono m.in. w narzędzia związane z rybołówstwem, stolarstwem i ciesielstwem, sprzęty kuchenne,

skrzynie posażne oraz wszelkie inne przedmioty codziennego użytku. Przekroczenie progu tej chaty to jakby podróż w czasie. I właśnie dzięki temu budynek zdobył pod koniec ubiegłego roku główną nagrodę w -

organizowanym przez Muzeum Rolnictwa im. ks. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu - konkursie na Najlepiej Zachowany Zabytek Wiejskiego Budownictwa Drewnianego w Województwie Podlaskim.

- Jest to dla nas wielki prestiż i satysfakcja. To docenienie daje nam motywację do dalszej pracy - przyznaje prof. Matus.

Pani Irena dziedzictwo podlaskiej wsi konsekwentnie dokumentuje i zachowuje od lat. Badanie i przekazywanie kolejnym pokoleniom wiedzy na temat kultury regionu to jej pasja, z którą postanowiła związać swoje zawodowe życie. Podlaskianka jest emerytowaną profesorem Uniwersytetu w Białymstoku. Przez wiele lat była związana z Wydziałem Filologicznym, a następnie z Instytutem Kulturoznawstwa, w którym pełniła funkcję kierownika Zakładu Antropologii Kultury. Jej dorobek naukowy obejmuje liczne publikacje poświęcone problematyce wielokulturowości regionu podlaskiego, w tym siedem monografii oraz artykuły naukowe i popularnonaukowe.

- Bardzo wcześnie, wyszłam za mąż. I tak razem z mężem Mikołajem zaczęliśmy zbierać różne rzeczy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, po co to robimy. A kiedy już postanowiliśmy, że chcemy stworzyć skansen, zaczęliśmy kolekcjonować jeszcze bardziej intensywnie - opowiada. I dodaje, że myśl o stworzeniu skansenu narodziła się około ośmiu lat temu.

- Syn powiedział mi wtedy: „Mamo, zostaną po tobie

FOT. W. WOJTKIEWICZ

książki. Może zobaczymy, czy da się zrobić coś więcej. Czy da się coś uratować? I tak pojawił się pierwszy budynek, drugi, trzeci... - wspomina.

Mąż pani Ireny zmarł przed kilkoma laty. Ale w walce o zachowanie tego, co wkrótce może odejść w zapomnienie, wspierają ją dwa kolejne pokolenia: syn Dawid i 8-letni wnuk Jeremiasz.

- Kiedy nie ma następców, robienie takich rzeczy nie ma sensu. Ja mam to szczęście, że będzie to komu przekazać - mówi pani Irena. - Wnuk jest wręcz zafascynowany tym miejscem. Lubi pomagać przy czyszczeniu eksponatów i naprawdę bardzo dużo wie. Zaprosił tu nawet swoją klasę. A gdy usłyszał o naszej nagrodzie, powiedział, że to on musi ją odebrać, co uczynił.

Karczma z XIX wieku z izbą dla chłopów i VIP-ów

Jednym z najważniejszych obiektów skansenu jest drewniana karczma z XIX wieku, przeniesiona z miejscowości Parcewo w gminie Bielsk Podlaski. To budynek, który przez wiele lat pełnił funkcję mieszkalną i był w bardzo złym stanie technicznym. Został jednak poddany gruntownej renowacji i przywrócono mu pierwotny charakter historycznej karczmy.

Jak zdradza prof. Matus, kiedyś karczma była nieodłącznym elementem każdej wsi. Jednak, niestety, ta w skansenie jest prawdopodobnie jedyną zachowaną wiejską karczmą w całym województwie podlaskim.

- W latach 70-tych XIX wieku, kiedy alkoholizm był prawdziwą plagą, w Polsce swoje działania rozpoczął Ruch Trzeźwości. W jego skład wchodził księża, nauczyciele, agronomowie i urzędnicy. Zamieniano wtedy karczmy na szkoły lub po prostu je unicestwiano. Nawet tu, w Puchłach, duchowny się skarżył, że ludzie w niedzielę idą - zamiast na nabożeństwo - do mieszczącej się naprzeciwko cerkwi karczmy - opowiada.

Karczma z Parcewa jednak przetrwała. Budynek został zakupiony przez jedną z rodzin w latach 90-tych XIX wieku i przez ponad 100 lat mieszkało w nim kilka pokoleń.

- Na szczęście moje nic tu nie nacudowali - cieszy się pani Irena. - Do budynku prowadzą oryginalne drzwi z połowy XIX wieku, zachował się też cały układ przestrzenny.

We wnętrzu karczmy znajdują się dwie izby o odmiennym standardzie wyposażenia, odpowiadającym dawnemu podziałowi gości według statusu majątkowego.

- Jest izba chłopska, ze stołami z oryginalnych 150-letnich desek. Mamy tu m.in. kieliszki



FOT. W. WOJTKIEWICZ



FOT. W. WOJTKIEWICZ

Wizyta w skansenie „Dawne Podlasie” to jakby podróż w czasie. Można tu zobaczyć stare, XIX-wieczne domy z wyposażeniem, XIX-wieczną karczmę, spichlerz, a także przydrożne krzyże i kapliczki

karczmiaki i dzbanki - wymienia twórczyni skansenu.

Są też miedziane miarki z 1850 roku. Widnieje na nich napis „1/100 wiadra”.

- Wtedy wódkę sprzedawano właśnie na 10-litrowe wiadra. Szkło było w tamtych czasach bardzo drogie - zdradza prof. Matus. - Tu z boku stoi też waga. Była niezbędna, bo chłopci bardzo często nie mieli pieniędzy i trzeba było trochę pokombinować. Każdy przynosił co mógł - pszenicę, fasolę czy podebrane żonie jajka.

W drugiej izbie, nazwanej przez panią Irenę „Vipówką”, zasiadał wójt, nauczyciel, urzędnik. Wszystkie widoczne na stole naczynia pochodzą sprzed I wojny światowej,

a każde nakrycie składa się z talerza, widelca, łyżki i łyżeczki. Jest imbryk do parzenia herbaty, a na ścianach zawieszono obrazy.

Karczma trzy lata temu zajęła trzecie miejsce w konkursie, w którym pod koniec 2025 roku swoje triumfy święcił sąsiadujący z nią dom.

Na ponad dwuhektarowym terenie można już też podziwiać w pełni wyposażony warsztat cieśli i stolarza.

Budynki to jednak nie wszystko. Uzupełnieniem skansenu są elementy małej architektury, takie jak pasieka z tradycyjnymi ulami kłodoowymi, a także przydrożne krzyże i kapliczka, charakterystyczne dla krajobrazu kulturowego regionu.



FOT. W. WOJTKIEWICZ



FOT. W. WOJTKIEWICZ



FOT. W. WOJTKIEWICZ

Jeden z krzyży jeszcze niedawno można było ujrzeć na skraju wsi Klejnik.

- Na jednym z kamieni, na których stało ogrodzenie krzyża, zachowała się moneta z datą 1899 rok - opowiada. - Mam też schowany, przygotowany do renowacji starszy krzyż - osiemnastowieczny.

Spichlerze, szkoła, stodoła, dom mieszkalny

Dalsze plany na rozbudowę skansenu są ambitne.

- Teraz szykujemy spichlerz z międzywojnia, w którym chcemy pokazać pracownię ikonograficzną i wystawę oleodruku - zdradza prof. Matus. W najbliższej przyszłości w dwóch kolejnych spichler-

zach mają powstać domki pszczelarza i rybaka.

Największym wyzwaniem będzie jednak szkoła. Obecnie stowarzyszenie „Dawne Podlasie” stara się o fundusze, które pozwolą ją odbudować na terenie skansenu.

- Szkoła została uratowana w ostatniej chwili. Ma wymiar 11 na 21 metrów. To puszczańskie drzewo z przełomu XIX i XX wieku. Chcemy, by powstało w niej kiedyś Muzeum Kultury Sakralnej i stała wystawa tkaniny dekoracyjnej. W budynku mieściłoby się też Regionalne Centrum Kultury. To miałyby być miejsce, w którym byłoby można przeprowadzać różnego rodzaju sympozja, konferencje, wystawy i warsztaty. Gdyby to się udało, byłaby

to wielka rzecz dla regionu - przyznaje prof. Matus.

W planach jest także stworzenie miejsca przypominającego historię bieżącej.

Pamiętają o przodkach, kulturze i korzeniach

Skansen może liczyć na wsparcie wielu osób, które przekazują swoje wiekowe, wartościowe historyczne przedmioty. Wiele osób prywatnych, firm oraz parafii udzieliło także pomocy finansowej. - Wszystkim w imieniu stowarzyszenia serdecznie dziękuję - podkreśla pani Irena.

Skansen Dawne Podlasie powstał jako inicjatywa prywatna, rodzinna, a od prawie pięciu lat prowadzi je stowarzyszenie o tej samej nazwie. Działa w nim kilkanaście osób.

Pomoc płynie też ze strony rodziny, przyjaciół, znajomych i nieznajomych.

- Byłam w szoku, kiedy przyjechałam do Ireny po raz pierwszy i zobaczyłam, co tu się dzieje. To coś niebywałego i dobrze, że powstała już cała grupa ludzi, którzy jej pomagają. Sama ściągnęłam tu troje mojego rodzeństwa. Bo moim zdaniem jest to miejsce bardzo wartościowe i niezwykle. Niezwykła też jest sama Irena - przyznaje Halina Surynowicz członek Stowarzyszenia Dawne Podlasie. - Jestem szczęśliwa, bo dzięki skansenowi zdobyłam ogromną wiedzę o życiu naszych przodków. Skansen ten dla mnie, jak i dla wielu osób stał się bardzo ważnym miejscem.

Osoby działające w stowarzyszeniu i sympatycy skansenu na co dzień zajmują się eksponatami. Jest ich mnóstwo, a wszystkie trzeba wyczyścić i zabezpieczyć. Wiele wysiłku wymaga też pozyskiwanie niezbędnych do działania funduszy.

- Ta inicjatywa zasługuje na najwyższe uznanie. Trzeba pamiętać o naszych przodkach, o naszej kulturze i korzeniach. Jednak do wszystkiego niezbędne są ogromne nakłady pracy i środków. Staramy się zdobywać je z różnych źródeł - kontynuuje pani Halina.

Jak przyznaje pani Irena, do uratowania pozostało coraz mniej.

- Niektóre budynki zostały już bardzo przerobione. Są też inne trudności - w przypadku niektórych domów nieuregulowane jest prawo spadkobierców - wskazuje.

Ale pracy i marzeń i tak wciąż jest mnóstwo.

- Jeśli człowiek nie ma marzeń, życie nie ma sensu. A ja czuję, że muszę działać. Moja przyjaciółka mówi: „Musimy pomagać Irenie, bo co nasi wnukowie pokażą swoim dzieciom?”. Mam nadzieję, że uda nam się zachować dla przyszłych pokoleń jak najwięcej - podkreśla pani Irena. I jest przekonana, że to dzieło będą kontynuować kolejne pokolenia.

SHOICHI YOKOI I OSTATNI ŻOŁNIERZE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Kapral Yokoi, przekonany, że wojna z Amerykanami wciąż trwa, ukrywał się w dżungli na wyspie Guam na Marianach. Znalezione go dopiero 24 stycznia 1972 r.

Mariusz Grabowski

Przypadek Yokoiego doprowadzi, że wielu japońskich fanatyków przez dekady nie uwierzyło w koniec wojny. Unikali ludzi, żyli z dnia na dzień i czekali, aż zostanie uratowany przez własne wojska. Yokoi, podobnie jak Robinson zbudował prymitywny dom, robił własne ubrania, jadł ryby, spreparowane jadowite żaby, węże i szczury.

„Zostałem tylko ja”

Zajrzyjmy do CV naszego bohatera. Shoichi Yokoi urodził się w 1915 r. w Nagoi, czyli w południowej części wyspy Honsiu. Przed wojną pracował jako krawiec, co zresztą później pomogło mu w przetrwaniu. W 1941 r. został powołany do japońskiej armii, a w lutym 1943 r. trafił na wyspę Guam jako żołnierz oddziałów zaopatrzeniowych. Latem następnego roku, gdy podczas amerykańskiej ofensywy japońska linia obrony została przełamana, Yokoi wraz z innymi żołnierzami musiał ratować się ucieczką do dżungli.

Nawet przez chwilę nie myśleli o poddaniu się jankesom. Wychowani w duchu bezwzględnej lojalności wobec cesarza i przekonani, że poddanie się jest hańbą, postanowili nie składać broni i walczyć. W ciągu kilku miesięcy liczba ukrywających się Japończyków zmalała do kilkudziesięciu. By przeżyć, zabijali wypasane na wyspie krowy, dzięki czemu zyskiwali jedzenie na kolejne dni swojej ucieczki.

Ukrywali się najpierw w grupie, a potem w coraz mniejszym gronie. Z czasem Yokoi pozostał zupełnie sam, przekonany, że wojna trwa lub że dla niego nie ma już powrotu do ojczyzny.

Przed snem kodeks

Aż trudno uwierzyć, że Yokoi trwał na posterunku aż 28 lat. Żył w dżungli, korzystając z umiejętności wyniesionych z rodzinnego domu i wojskowego szkolenia. Swoją podziemną schron wzmocnił bambusem i wyposażił w prymitywną toaletę. Dzięki doświadczeniu krawieckiemu potrafił szyć ubrania z włókien roślinnych i skórek zwierząt, a narzędzia i pułapki konstruował z dostępnych materiałów.

Co jadł? Jego dieta składała się głównie z żab, szczurów,



Dwa tygodnie po odnalezieniu Yokoi wrócił do Japonii, a jego powrót stał się medialną sensacją

węży, krewetek rzecznych, okazjonalnie owoców i orzechów. Z czasem nauczył się usuwać jad z trujących ropuch, które hodował w swoim schronie. Wodę do picia gotował, by uniknąć chorób, a ogień rozpałał za pomocą prochu z amunicji. Przez cały czas unikał kontaktu z ludźmi, obawiając się schwytania przez Amerykanów lub miejscowych „kolaborantów”.

Nocami recytował kodeks honorowy armii japońskiej. Chodziło zapewne o ten wydany w styczniu 1941 r., który opierał się na tzw. „Reskrypcie Cesarzowskiej do Żołnierzy i Marynarzy”. Był to zbiór zasad opartych na współczesnej filozofii bushido, kładących nacisk na absolutną lojalność wobec Cesarza, bezwzględne posłuszeństwo i preferencję śmierci nad hańbą poddania się.

Prosił o śmierć

Owego 24 stycznia 1972 r. natknął się na grupę miejscowych myśliwych. „Spanikował, bo bał się, że zostanie wzięty do niewoli, co było największym poniżeniem dla japońskiego żołnierza. „Prosił tych myśliwych, żeby go zabili” - wspominał po latach jego siostrzeniec Omi Hatashin, który zredagował później wspomnienia Yokoia.

Myśliwi niemalże siłą zabrali heroicznego wojaka do osady, w której mieszkali, by udzielić mu niezbędnej pomocy. „W cza-

sie drogi Yokoi szarpał się i płakał, błagając o śmierć; chciał, by spotkał go los, jaki czekał na każdego honorowego samuraja” - dodawał jeden z myśliwych.

Robinsona zbadał lokalny lekarz i - co ciekawe - okazało się, że jest on w zadziwiająco dobrej kondycji fizycznej. Gdy badano go już w Japonii, okazało się, że wykazuje „nieznaczne odchylenie” w sferze neurologicznej, ale oficjalnych danych zdrowotnych nigdy nie ujawniono.

Powrót bohatera

Już dwa tygodnie po odnalezieniu Yokoi wrócił do Japonii, a jego powrót stał się medialną sensacją. „Czuję się wielce zadowolony, że wracam żywy - słowa Yokoiego, które wypowiedział zaraz po powrocie do domu, stały się w Japonii niemal symboliczne.

W krótkim czasie ożenił się i zamieszkał w prefekturze Aichi. Co wielce charakterystyczne - armia wypłaciła mu zaległy żołd, a władze przyznały emeryturę. W 1991 r. Yokoi dostąpił nawet zaszczytu spotkania z cesarzem Akihito, którego chciał przeprosić za „hańbę”, jaką była jego ucieczka przed wrogiem.

Pytany, dlaczego ukrywał się w dżungli tak długo, odpowiedział wymijająco: „Miałem trudne dzieciństwo, żyłem z bardzo nieprzyjemnymi krewnymi. Trzymałem się dżungli, ponieważ nie chciałem mieć z nimi



Hiroo Onoda ukrywał się do marca 1974 r., odnalazł go podróżnik Norio Suzuki

do czynienia”. Wszyscy jednak wiedzieli, że kierował się zupełnie innymi pobudkami.

„Yankee go home”

Jak czytamy w posłowie Omi Hatashina, jego krewny nigdy w pełni nie przyzwyczał się do życia w nowoczesnym kraju. Z każdym rokiem stawał się coraz bardziej nostalgiczny i zamknięty w sobie. Przed swoją śmiercią w 1997 r., w towarzystwie żony, odbył co prawda kilka podróży na Guam (otwarto tam muzeum na jego cześć, liczące... osiem metrów kwadratowych), ale „nie okazywał żadnych emocji”.

Shoichi Yokoi zmarł 22 września 1997 r., w wieku 82 lat, na atak serca. Pochowano go jak narodowego herosa. Reporterzy zauważyli, że w żegnaniu się przed zwycięzcami, którzy go tłumnie pojawiły się nawet antyamerykańskie hasła, żądające m.in. opuszczenia przez US Army baz na terytorium Japonii.

Żołnierze Cesarza

Yokoi nie był jedynym żołnierzem, który padł ofiarą armijnej indoktrynacji. Nie był nawet „wojennym rekordzistą” w ukrywaniu się przed zwycięzcami. Pierwszymi udokumentowanymi przypadkami tego typu był 46-osobowy oddział kapitana Sakae Oby, który prowadził partyzancką walkę na wyspie Saipan do grudnia 1945 r., czyli

przez miesiąc po poddaniu się Japonii.

W 1949 r. amerykańskim żołnierzom poddało się dwóch Japończyków ukrywających się na Iwo Jimie. W latach 50. dwóch kolejnych „żołnierzy cesarza” poddało się policji na Filipinach, zaś dekadę później na wyspie Guam broń złożył Tadashi Ito, który walczył w ukryciu przez 26 lat.

Rekord Nakamury

Wojennym długodystansowcem okazał się jednak szeregowy Teruo Nakamura, wcielony do japońskiej armii w 1943 r. i wysłany na indonezyjską wyspę Morotai. Po jej zajęciu przez aliantów we wrześniu 1944 r. Nakamura został uznany za zmarłego.

Odnaleziono go dopiero 18 grudnia 1974 r., dwa lata później niż Yokoiego, co oznacza, że swoją walkę prowadził aż 30 lat. Przetransportowano go od razu do szpitala w stolicy Indonezji, Dżakarcie. Po zakończeniu leczenia, poprosił o przewiezienie go na Tajwan, gdzie się urodził.

Z faktu, że Nakamura nie był etnicznym Japończykiem, nie przysługiwała mu japońska emerytura. Jako były żołnierz otrzymał tylko niedużą odprawę, co spotkało się ze społecznym odzewem - mieszkańcy Tajwanu oraz rząd zebrali na rzecz Nakamury po-

każną kwotę, za którą mógł się utrzymać. Zmarł w 1979 r.

Przypadek Onody

Nakamura dorównał Hiroo Onodzie, pochodzący z Kamekawy w dystrykcie Kaisō, który ukrywał się do marca 1974 r. na wyspie Lubang na Filipinach. Przed wojną pracował w firmie handlowej, a zmobilizowany w 1942 r. trafił do wywiadu armii japońskiej. Otrzymał rozkaz, aby z trzema podwładnymi dokonywać na Lubangu sabotaży wymierzonych w amerykańską infrastrukturę.

Kiedy Japonia podpisała kapitulację i wojna się skończyła, ataki Onody nie zakończyły się. Władze Filipin przez kolejne lata podejmowały różne próby przekonania Onody, że wojna naprawdę zakończyła się w 1945 r., ale bezskutecznie. Japończycy stawiali się coraz większym problemem, tym bardziej, że dość regularnie dochodziło z ich udziałem do potyczek z miejscowymi mieszkańcami - przez niemal 30 lat Onoda i jego towarzysze zabili ok. 30 osób, sądząc, że walczy z wrogiem.

W końcu, kiedy reszta żołnierzy została zabita w wyniku przypadkowych strzelanin, Onoda został sam.

Granaty i sztylet

20 lutego 1974 r. w jego kryjówce pojawił się podróżnik Norio Suzuki, który przekonał go, że wojna z Amerykanami naprawdę się skończyła. Ostatecznie Onoda ujawnił się i zrzucił mundur, gdy na wyspie zjawił się jego były dowódca - Yoshimi Taniguchi.

Poddanie obyło się ceremonialnie. Taniguchi wydał mu rozkaz: „Zgodnie z rozkazem Cesarza, Zgromadzenia Armii Obszaru zaprzestała wszelkiej działalności bojowej. (...) Jednostki pod dowództwem Eskadry Specjalnej mają natychmiast zaprzestać operacji wojskowych i oddać się pod dowództwo przełożonego, a jeśli nie uda się znaleźć żadnego oficera, mają oni skontaktować się z siłami amerykańskimi lub filipińskimi i postępować zgodnie z ich instrukcjami”.

Hiroo Onoda dopiero wówczas poddał się oraz oddał całą zgromadzoną broń, w tym miecz, 500 sztuk amunicji, kilka granatów i sztylet. Zmarł w 2014 r. w Tokio.

AMBASADOR POLSKI NA WSZYSTKICH KONTYMENTACH UHONOROWANY W EŁKU

Są chwile, w których miasto na moment zwalnia swój codzienny rytm, jakby chciało wsłuchać się w coś więcej niż własny oddech. Tak było 12 stycznia w Ełku — mieście jezior i północnego światła, które tego dnia otworzyło się na szeroki świat, nie ruszając się z miejsca. Uczyniło to, nadając tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ełku Jackowi Pałkiewiczowi — człowiekowi drogi, dla którego granice od zawsze były zaproszeniem, a nie przeszkodą

Jacek Hałas

Uroczystość miała w sobie coś z rytuału. Oficjalne formuły spletały się z ciszą skupienia, a za nimi unosiła się świadomość, że oto spotykają się dwie narracje: opowieść o miejscu i opowieść o człowieku. Ełk, miasto zakorzenione w swojej przestrzeni, i Pałkiewicz — obywatel świata, który przez dekady wędrował tam, gdzie mapy długo milczały.

Jego życie przypomina nieustanny ruch ku horyzontowi. Pustynie, dżungle, obszary polarne — krajobrazy skrajne, wymagające, często nieprzyjazne — były dla niego nie tyle areną zmagania, ile przestrzenią poznania. Najgłośniejsze z jego dokonań, udział w ustaleniu źródeł Amazonki, bywa nazywane ostatnim wielkim odkryciem geograficznym XX wieku. Lecz w istocie Pałkiewicz odkrywał coś więcej niż miejsca. Odkrywał sens drogi, która prowadzi nie tylko przez kontynenty, ale i przez ludzką wrażliwość.

Jako reporter i pisarz nie zatrzymywał świata dla samego faktu jego istnienia. Potrafił słuchać, patrzeć uważnie, zapisywać to, co ulotne. Jego książki i reportaże są zapisem spotkań — z ludźmi żyjącymi na krańcach cywilizacji, z kulturami trwającymi poza głównym nurtem historii, z przyrodą, która wciąż stawia człowiekowi pytania, na które nie ma prostych odpowiedzi. W tym sensie jego podróże były formą dialogu, a nie podboju.

Decyzje o nadaniu honorowego obywatelstwa rzadko budzą dziś większe zainteresowanie. Często giną w natłoku lokalnych ceremonii, tracąc swój sens i ciężar gatunkowy. Tym bardziej warto zatrzymać się przy uroczystości, która odbyła się 12 stycznia w Ełku — nadaniu tytułu Honorowego Obywatela



Prezydent Ełku Tomasz Andrukiewicz i Jacek Pałkiewicz podczas uroczystości

Miasta Ełku. Nie ze względu na sam gest, lecz na to, co on mówi o rozumieniu autorytetu we współczesnej przestrzeni publicznej.

Honorowe obywatelstwo nie powinno być nagrodą za popularność ani formą kurtuazji. W swojej istocie jest aktem wyboru wartości. Miasto, nadając ten tytuł, odpowiada na pytanie: z kim chcemy się utożsamiać, kogo uznajemy za punkt odniesienia, jaki model postawy uznajemy za godny naśladowania. W tym sensie decyzja Ełku zasługuje na uwagę — wskazuje bowiem na autorytet budowany na wiedzy, doświadczeniu i odpowiedzialności.

Uroczystości były sfilmowane przez ekipę Łukasza Weigta, Julii Popielskiej i Piotra Krupy, która podjęła się trudnego

pokazania sylwetki odkrywcy w filmie dokumentalnym

W słowach Jacka Pałkiewicza, wypowiedzianych podczas uroczystości, pobrzmiwała wdzięczność, ale i coś więcej — świadomość zobowiązania. Honor bowiem nie jest zwieńczeniem drogi, lecz jej kolejnym etapem. Jest znakiem, że opowieść trwa, że wciąż można inspirować, dzielić się doświadczeniem, budować mosty między miejscem a światem. Eksplorator, który przez pół wieku kierował wieloma ambitnymi wyprawami w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych zjawisk i ludzi osiadłych w odległych regionach, podziękował za to wyróżnienie:

-Otrzymałem honorowego tytułu obywatela miasta Ełku sta-

nowi dla mnie głęboki zaszczyt, który trudno ubrać w słowa. Ełk nie jest dla mnie tylko miejscem na mapie - to część mojej historii. To tutaj chodziłem do szkoły podstawowej, tutaj poznałem pierwszą wartość, a moi rodzice żyli i budowali swoje życie. Powrót dzisiaj, tak serdecznie przyjęty, wzrusza mnie i prowadzi z powrotem do korzeni. Dziękuję władzom miasta oraz całej społeczności za to wyróżnienie: przyjmuję je z wdzięcznością i dumą, jako znak więzi, która pozostaje żywa mimo upływu czasu. Dziękuję z całego serca.

Zaś urzędujący od 20 lat prezydent Ełku Tomasz Andrukiewicz, tak przedstawił utytułowanego podróżnika:

- Rok 2025 był dla nas rokiem szczególnym. Świętowaliśmy 600-lecie lokacji Ełku, nadane

bitnych, ciekawych świata i odważnych. Jest Pan dowodem na to, że chłopak z Ełku może odkryć źródła Amazonki, przepłynąć ocean szalupą i uczyć komandosów przetrwania. Ale jest Pan też dowodem na coś ważniejszego - że można zdobyć cały świat i pozostać sobą. Że można być obywatelem świata, nie przestając być obywatelem swojej małej ojczyzny.

Jacek Pałkiewicz należy do nielicznej grupy ludzi, dla których poznawanie świata nie było ucieczką od rzeczywistości, lecz próbą jej zrozumienia. Jego udział w ustaleniu źródeł Amazonki, uznawany za jedno z ostatnich wielkich odkryć geograficznych XX wieku, ma znaczenie nie tylko naukowe. Jest także symbolem postawy: cierpliwej, opartej na faktach, wolnej od sensacyjności. Równie ważna była bowiem umiejętność opowiedzenia o tym doświadczeniu — bez uproszczeń i bez egzotyki na sprzedaż.

Gest Ełku jest interesujący także z innego powodu. Pokazuje, że lokalność nie musi oznaczać zamknięcia, a prowincja — intelektualnej peryferyjności. Przeciwnie: to właśnie mniejsze wspólnoty coraz częściej potrafią formułować dojrzałe wybory aksjologiczne, wolne od doraźnych kalkulacji. W czasach, gdy pojęcie autorytetu bywa nadużywane lub deprecjonowane, takie decyzje przywracają mu realną treść.

Honorowe obywatelstwo ma sens tylko wtedy, gdy coś znaczy. Gdy nie kończy rozmowy, lecz ją otwiera. Jeśli ma być czymś więcej niż symboliczną formą grzeczności, musi wskazywać kierunek — intelektualny i moralny. W tym przypadku kierunek ten wydaje się jasny: ku wiedzy, odpowiedzialności i ciekawości świata.

To dobry znak. Nie tylko dla Ełku.

LITERATURA PIĘKNA

Remedium na monotonię ludzkiego bytowania

Znak wznowił „Dolinę Issy” Czesława Miłosza. Dla Miłoszologów to gratka – na końcu znajduje się bowiem glosa „Przypis po latach”, który noblista napisał w 2000 roku, podsumowując co ciekawsze wątki w recepcji powieści.

Tego świata nie ma

Botaniczno-geologiczny początek „Doliny...” zna każdy jako tako wykształcony Polak. „Należy zacząć od opisu Kraju Jezior, w którym mieszkał Tomasz. Te okolice Europy długo były pokryte lodowcem i jest w ich krajobrazie surowość północy. Ziemia jest tu na ogół piaszczysta i kamienista, żdatna pod uprawę tylko kartofli, żyta, owsa i lnu. Tym tłumaczy się, że człowiek nie zniszczył tu lasów, które łagodzą nieco klimat i chronią od wiatrów Bałtyckiego Morza. Przeważa w nich sosna i świerk, są również brzozy, dęby i graby, brak całkowicie buków, granica ich zasięgu przebiega o wiele dalej na południe”.

Dale jest z kolei sporo o faunie i florze, porach roku i ludzkim bycie na Litwie w dolinie zmitologizowanej rzeki Issy. Całość składa się z 70 krótkich rozdziałów numerowanych cyframi rzymskimi. „Pisząc »Dolinę Issy«, byłem w bardzo dużym wewnętrznym kryzysie, w wielkim impasie. Wierszy nie mogłem pisać. To był mój zabieg kuracyjny. (...) Po jej napisaniu zacząłem stopniowo wracać do poezji” – tłumaczył Miłosz pisarce, tłumacze i krytyczce literackiej Renacie Garczyńskiej w 1983 r.

Kwestie religijne

W roli głównej występuje Tomasz Dilbin, szlacheckie dziecko zafascynowane botaniką, które matka zabierze do Polski, która to właśnie po 123 latach niewoli odzyskała niepodległość. Wcześniej jednak chłopak opowie nam o dziwnej krainie nad Niewiażą, otaczających go dziwnych ludziach, świecie zabobonnych wierzeń, prymitywnych obyczajów i pradawnych pieśni.

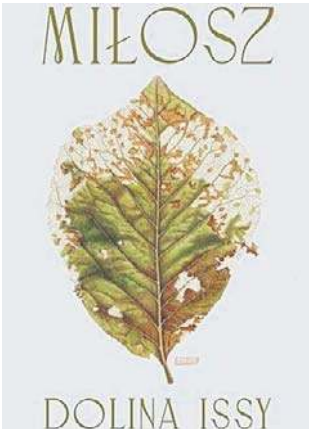
Sporo tu o Bogu i jego sprawach, stąd „Dolinę Issy” niektórzy nazywają „zakamuflowanym traktatem teologicznym”. Ale nie brakuje też passusów o diable. „Mówią, że diabeł jest nieduży, wzrostu dziesięcioletniego dziecka, że nosi zielony fraczek, żabot, włosy splecione w harcap, białe pończochy (...). Nie na darmo inna nazwa nieczystej siły jest nad Issą »Niemczyk« – oznacza, że diabeł jest po stronie postępu” – wywodzi Miłosz.

Nad magiczną Issą

W „Encyklopedii PWN” autorzy skrupulatnie, acz cokolwiek beznamytnie odnotowali: „Powieść Cz. Miłosza, wydana w 1955 r. w Paryżu, uznana za utwór o cechach autobiograficznych; przedstawia dzieje dojrzewającego chłopca, Tomasza, który przebywa pod opieką dziadków w dworze polskim na Litwie kowieńskiej nad Issą (Niewiażą); tłem historycznym opowieści, rozgrywającej się po zakończeniu I wojny światowej, są konflikty narodowościowe i społeczne w niepodległej już Litwie, reforma rolna, powikłania wynikłe z przeprowadzenia nowej granicy”.

Wszystko prawda, dodajmy więc do tego smutek, mgłę, tajemnicze pohukiwania w lasach, zapach torfu, na wpół pogańskie obyczaje, a natychmiast wpadniemy w kojąco-niepokojący klimat Issy.

Bożydar Brakoniecki



Czesław Miłosz, „Dolina Issy”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,90 zł

HISTORIA/FILM

„Film, towarzysze, jest najważniejszą ze sztuk”

W osiemnastu historycznych esejach o świecie polskiego filmu czasów PRL próżno szukać pikantnych dykteryjek o pijanym Himilsbachu czy uwodzicielskim Fronczewskim. Za to sporo tu o filmowcach w realiach komunistycznego państwa: o ich podstawach politycznych, relacjach z partią, resortem kultury, aparatem bezpieczeństwa i cenzurą, zaangażowaniu w inicjatywy opozycyjne bądź przeciwnie – w działania propagandowe władz.

W objęciach polityki

Tom jest pokłosiem ogólnopolskiej konferencji naukowej „Filmowcy w rzeczywistości politycznej Polski Ludowej”, zorganizowanej 23 i 24 maja 2023 roku w Szczecinie. Wydarzenie to zgromadziło historyków, filmoznawców oraz przedstawicieli innych dyscyplin humanistycznych i społecznych. Celem uczestników konferencji było podjęcie refleksji nad relacjami między światem filmu a systemem politycznym PRL.

Uczestnicy starali się spojrzeć na zjawisko „polskiego filmu” całościowo. Poczynając od administracyjnych form, w jakich funkcjonował, aż po polityczne ograniczenia, które określały jego „ideowy” kształt. Stąd wśród tekstów znalazły się zarówno ujęcia syntetyczne, jak i szczegółowe studia przypadków.

Jakub Bobrowski przedstawia np. „Dyskursywny obraz wrogów ustroju w filmie milicyjnym”; Filip Gańczak pisze o relacjach filmowców i Służby Bezpieczeństwa; Arkadiusz Serwa o działaniach Urzędu Bezpieczeństwa wokół Zbigniewa Sawana, a Patrycja Resel o kolaboracji pod okupacją niemiecką jako nośnym motywie w kinematografii Polski Ludowej.

Towarzysze z „Czołówki”

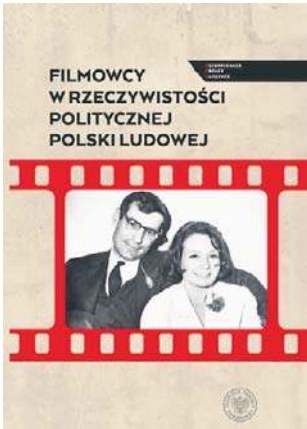
Przyjrzymy się bliżej esejowi Marka Bartona zatytułowanemu „Działalność Aleksandra Forda jako kierownika »Czołówki Filmowej«”. Nie bez powodu – późniejszy twórca „Krzyżaków” był jednym z tych, którzy kształtowali ideowość polskiego filmu zarówno przed wojną, a w znacznie większym stopniu po niej. Plotka głosiła, że do tej roli został osobiście wybrany przez towarzysza Stalina.

Formalnie „Czołówka Filmowa” została założona w 1958 roku w Warszawie, jednakże jej początki sięgają czasów 1943 r., gdy przy powstającym w ZSRR Wojsku Polskim skupili się filmowcy, którzy wcześniej pracowali w wytwórniach sowieckich. Stworzyli „Czołówkę Filmową Wojska Polskiego”, realizującą kroniki i filmy dokumentalne.

Ford kojarzony jest przede wszystkim z jej powstaniem. Od początku, jeszcze jako porucznik, należał jednocześnie do ówczesnej wierchuszki partyjnej z Hilarym Mincem, Romanem Zambrowskim, Włodzimierzem Sokorskim i Jerzym Putramentem. To właśnie Ford w marcu 1945 r. (wraz ze swoimi współpracownikami: towarzyszami Stanisławem Wohlem i Jerzym Bossakiem) skierował memoriał do władz w sprawie „całkowitego upaństwowienia polskiej kinematografii”.

Efekt? Szefem powstałego w listopadzie 1945 r. Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski” został podpułkownik Aleksander Ford, jego zastępcą do spraw polityczno-propagandowych major Jerzy Bossak, a do spraw technicznych podpułkownik Stanisław Wohl.

Lucjan Strzyga



„Filmowcy w rzeczywistości politycznej Polski Ludowej”, wyd. IPN, Szczecin 2025, cena 50 zł

TEOLOGIA/NAUKA

Co było na początku świata: stworzenie czy wielki wybuch?

Wyjaśnienia tego złożonego teologiczno-filozoficzno-fizycznego problemu podjął się – po raz kolejny – Gerard M. Verschuuren, 80-letni holenderski biolog, genetyk, dr filozofii nauki, od lat zgłębiający relację między nauką a wiarą. Tym razem w książce „Na początku” (miała premierę w 2019 roku w USA, w konserwatywnej oficynie Sophia Institute Press).

O kosmosie, Bogu i ludzkim rozumie

Verschuuren jest tym, który do zdumienia w swoich publikacjach przekonuje, że nauka i religia nie tylko się nie wykluczają, ale wręcz wzajemnie się dopełniają. „Panuje dzisiaj powszechne przeświadczenie – pisze – że nauka i religia pozostają we wzajemnym konflikcie. Uważa się nawet, że nauka pozbawiła religię istotnego znaczenia. Skoro tak, to wielki wybuch, ewolucja galaktyk, uformowanie się Ziemi i wreszcie rozwój życia nie mają nic wspólnego z Bogiem. To by z kolei przekreślało wszelką możliwość spotkania się nauki z religią”.

Napisawszy powyższe Verschuuren zabiera czytelników w podróż przez kosmos, by odpowiedzieć na odwieczne pytanie o początek świata i życia. A konkretnie: co naprawdę mówi współczesna nauka o wielkim wybuchu, ewolucji i genezie człowieka, a także jak te odkrycia współbrzmia z przesłaniem Księgi Rodzaju. „Na początku” to zaproszenie, by czytać „Księgę Natury” i „Księgę Pisma Świętego” jako dwa uzupełniające się „świadczenia jednego Stwórcy”.

Co ważne: autor podkreśla, że nie napisał tej książki z myślą o specjalistach. Jest przeznaczona dla laików, a jej tematyka wymaga jedynie odrobiny terminologii naukowej i podstawowych wyjaśnień z dziedziny nauki. Umieścił w niej również przypisy, aby czytelnik mógł sprawdzić u źródeł jego twierdzenia. Stąd także logiczny i konsekwentny układ poruszanych zagadnień: stworzenie i argumenty oraz antyargumenty naukowe i religijne, czas i ewolucja wszechświata, formowanie się Ziemi, pojawienie się i ewolucja życia, wreszcie „jedyność” planety w owym wszechświecie.

Kto pyta, nie błądzi. A błądzi wielu

Autor nie unika teologicznych prowokacji. Pisząc np. o stworzeniu, nie waha się stwierdzić: „Akt stwórczy nie zajął sześciu dni ani nawet sześciu jakichś innych, dłuższych jednostek czasu. Stworzenie samo w sobie nie jest żadnym wydarzeniem: nie zaszło w określonym miejscu (takim jak raj) ani czasie (nawet bardzo dawno temu). Krótko mówiąc, wydarzyło się ono nie »na początku« świata, lecz »na początku«. Jasno mówi o tym pierwszy werset Księgi Rodzaju: »Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię« (Rdz 1,1). »Na początku« to jednak nie znaczy »przed wszystkim innym«; nie chodzi o coś w rodzaju pierwszej czynności o poranku”.

Książka Verschuurena, niejako przy okazji, dostarcza też odpowiedzi na mnóstwo innych intrygujących kwestii: dlaczego wszechświat jest tak stary... i tak niewiarygodnie rozległy? Jakie są właściwości chemiczne i geologiczne Ziemi, które sprawiają, że jest ona miejscem przyjaznym dla ludzkości? Dlaczego akurat Księżyc stał się kluczowy dla życia? Jak wulkanizm, masowe wymierania, a nawet zmiany orbity Ziemi przygotowały drogę dla ludzkości?

Odpowiedzi mogą zadziwić każdego.

Mariusz Grabowski



Gerard M. Verschuuren, „Na początku. Stworzenie świata czy wielki wybuch?”, wyd. W drodze, Poznań 2026, cena 44,90 zł

Lawina gratulacji i słów wsparcia, podziwu

Wielki plebiscyt rozpoczęty. Głosami naszych Czytelników przyznamy prestiżowe tytuły Osobowość Roku 2025 aż w sześciu kategoriach.

Rozpoczęcie plebiscytu Osobowość Roku 2025 wzbudziło ogromne zaangażowanie i emocje - zarówno wśród kandydatów, jak i lokalnych społeczności, które ich wspierają. Gdy skierowaliśmy światła reflektorów na osoby, które swoimi działaniami i pasją wnoszą realną wartość w życie innych, media społecznościowe zaalała fala postów pełnych gratulacji, wyrazów uznania i podzięko-

wań. Na naszej stronie możecie sprawdzić, jaka radość, wzruszenie i wsparcie towarzyszyły nominowanemu na Facebooku, Instagramie a także innych platformach.

Osobowość Roku to tradycyjna nagroda, która od wielu lat jest co roku przyznawana laureatom wielkiego plebiscytu. Jest on organizowany w całej Polsce przez dzienniki regionalne i serwisy internetowe wydawnictwa Polska Press, w tym także nasze. To bardzo prestiżowe, ogólnopolskie wydarzenie. Dość napisać, że cały plebiscyt zakończy uroczysta gala na Zamku Królew-

skim w Warszawie, a laureaci zostaną uwiecznieni na kartach wyjątkowego albumu!

Głosowanie rozpoczęło się we wtorek, 13 stycznia. Jest prowadzone w sześciu kategoriach: Kultura; Działalność społeczna i charytatywna; Biznes i Przedsiębiorczość; Polityka, samorządność i społeczność lokalna; Innowacje/nowe Technologie oraz Nauka.

Zobaczcie te posty dotyczące nominacji do akcji. O tym, jak ważną rolę w wyróżnianiu i docenianiu takich liderów odgrywa plebiscyt Osobowość Roku, najlepiej świadczy bowiem właśnie lawina gratu-

lacji i słów wsparcia, która pojawiła się w mediach społecznościowych tuż po rozpoczęciu głosowania.

Nominowani do tytułu Osobowość Roku 2025 to niezwykle liderzy. To osoby, które dzięki swojemu zaangażowaniu i osiągnięciom, wyróżniają się na tle swoich społeczności.

W gronie kandydatów znaleźli się reprezentanci różnych dziedzin: artyści, działacze kulturalni, naukowcy, innowacyjni przedsiębiorcy, wolontariusze o wielkich sercach, a także samorządowcy i aktywiści społeczni. Choć pochodzą z różnych środowisk, łączy

ich sympatia, zaufanie i szacunek, jakim obdarzają ich inni. Ich działania zostały docenione nie tylko przez lokalne społeczności, ale także przez naszą redakcję i Czytelników.

Radość, duma i niedowierzanie... Czasem także lekka trema oraz poczucie odpowiedzialności wynikające z okazanego zaufania - to emocje, które towarzyszą nominowanemu od ogłoszenia wyników. Każdy z kandydatów do tytułu Osobowość Roku 2025 swoją pracą, działalnością społeczną, twórczością lub inicjatywami biznesowymi pozostawił pozytywny ślad w swoim otoczeniu.



LIDERZY PLEBISCYTU W SKALI WOJEWÓDZTWA PO PIERWSZYCH DNIACH GŁOSOWANIA

Biznes



● **MARCIN DARCUK**, właściciel Lekki STYL Catering Dietetyczny, Grójec, powiat grójecki.

Nominacja za innowacyjne podejście do swojego biznesu oraz zdobycia pierwszego miejsca w konkursie Orły Gastronomii 2025.

Działalność społeczna i charytatywna



● **ARTUR KACZOR**, działacz społeczny, właściciel Artsyl, Radom, Radom.

Nominacja za bycie bohaterem w niewidzialnej pelerynie. Działanie po cichu z pomocą, jednak skutecznie. Motywując innych do pomocy, poszerzając grono bohaterów.

Innowacje / nowe technologie



● **DR HAB. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA**, filozofka, badaczka rozwoju nowych technologii, prorektorka Akademii Leona Koźmińskiego, Warszawa.

Nominacja za popularyzowanie tematu AI w mediach, prowadzenie projektów międzynarodowych oraz pełnienie funkcji mentorki dla młodych liderów w branży.

Kultura



● **MAŁGORZATA LANGNER**, artystka, Wola Rafałowska, powiat miński.

Nominacja za wkład w propagowanie sztuki, rozwój osobisty i promowanie regionu dzięki swoim pracom.

Nauka



● **MARZENA OŻAREK-SZILKE**, prezes Międzynarodowej Fundacji Mummy Research Center i mNauka, Warszawa.

Nominacja za wkład w popularyzację nauki, a szczególnie archeologii, antropologii polskiej i ochrony dziedzictwa.

Polityka, samorządność i społeczność lokalna



● **MARTA KACZOR**, wójt, Potworów, powiat przysuski. Nominacja za za wyjątkowe zaangażowanie w budowanie silnej, zintegrowanej i aktywnej społeczności lokalnej poprzez organizację licznych wydarzeń kulturalnych, sportowych, patriotycznych i rodzinnych, które sprawiły, że mieszkańcy mogą czuć się częścią prawdziwej wspólnoty.

Marcin Darczuk wierzy, że inspiracja się rodzi z codziennego życia, relacji oraz doświadczeń

Marcin Darczuk (właściciel Lekki STYL Catering Dietetyczny, Grójec): - Nigdy nie było tak, że wszystko realizowałem dokładnie według planu. Wiele rzeczy powstawało w trakcie drogi - poprzez doświadczenia, rozmowy, próby i błędy.

Od początku wiedział jednak, że chce robić coś, co ma sens i realnie wpływa na życie innych ludzi. - Przełomowym momentem była dla mnie jedna z pierwszych rozmów z klientem „Lekkiego Stylu”, który powiedział, że dzięki naszej diecie odzyskał zdrowie,

energię i motywację do zmian, których wcześniej się bał. Wtedy zrozumiałem, że to nie jest tylko biznes czy catering, ale realna pomoc i wpływ na codzienne życie ludzi - wspomina. Pomaga Mu konsekwencja, otwartość na naukę i słuchanie innych. - Nie boję się zmieniać kierunku, jeśli widzę, że mogę coś zrobić lepiej. Myślę, że to właśnie autentyczność, cierpliwość i praca oparta na wartościach są dziś najbardziej doceniane - wyjawia

Najwięcej energii dają Mu ludzie i rozmowy z nimi. Lubi słuchać, poznawać różne historie i perspektywy - to właśnie

w relacjach z innymi często rodzą się najlepsze pomysły i motywacja do działania.

- Ogromnym wsparciem jest dla mnie moja żona, która ma mnóstwo genialnych pomysłów, ogromną intuicję i potrafi spojrzeć na wiele spraw z zupełnie innej strony. Wspólne rozmowy bardzo często prowadzą do rozwiązań, które później z powodzeniem realizujemy - podkreśla. - Bardzo wspierają nas także znajomi. Ich wiara w to, co robimy, dobre słowo i zaangażowanie dają nam poczucie, że to, co tworzymy, ma sens i pozytywnie wpływa na otoczenie.

Wygrała i pomyślała, że może w ten sposób może pomóc innym zagubionym rodzicom

Nominację do akcji otrzymała za: działanie na rzecz potrzebujących, pomaganie rodzicom dzieci z niepełnosprawnością, m.in. w pisaniu odwołań od wydanych krzywdzących opinii, a także za organizację zbiórek dla domu dziecka.

- W moim domu mama zawsze pomagała innym, w szczególności osobom starszym i chorym. Często pomagała rodzinie w opiece nad nimi, pracowała również w szpitalu. Ja, odkąd pamiętam, też lubiłam pomagać. Przełomem w pomocy niepełnosprawnym była diagnoza

nieuleczalnej choroby mojego syna. To wtedy pierwszy raz zderzyłam się z bezdusznym i niesprawiedliwym systemem orzecznictwa w Polsce. Żeby zawalczyć o świadczenie pielęgnacyjne, musiałam iść do sądu. Wygrałam i pomyślałam, że może w ten sposób mogę pomóc innym zagubionym rodzicom. I tak się zaczęło - wspomina Małgorzata Dziugiel (właścicielka firmy GoniarAuto, wiceprezes Fundacji StopDuchenne, Parysów). Trwa to już osiem lat. Co daje Jej dobrą energię do wprowadzania zmian, realizowania planów? Czy jest coś, co szczegól-

nie napędza codzienne działania? - Chyba moje ADHD. Otaczam się tylko pozytywnymi ludźmi. Być może to ja ich зараżam optymizmem, być może oni mnie. Chyba każdy z nas lubi czuć się potrzebny - i ja tak właśnie się czuję. Napędzają mnie po prostu ludzie, którzy się do mnie uśmiechają i budują słowem - wyjaśnia.

Na pewno wielu rzeczy nauczyła Ją mama - jej upór w działaniu. Zawsze mówiła: „Spróbuj, najwyżej ci się nie uda”. Zaszczepiła w Niej wolę walki, optymistyczne podejście do ludzi i to, że szacunek należy się każdej istocie.

Czytaj więcej o akcji na www.polskanews.pl/osobowosc

WYDARZENIA W TYM ROKU CELEM JEST WSPARCIE DIAGNOSTYKI I LECZENIA CHOROÓB PRZEWODU POKARMOWEGO

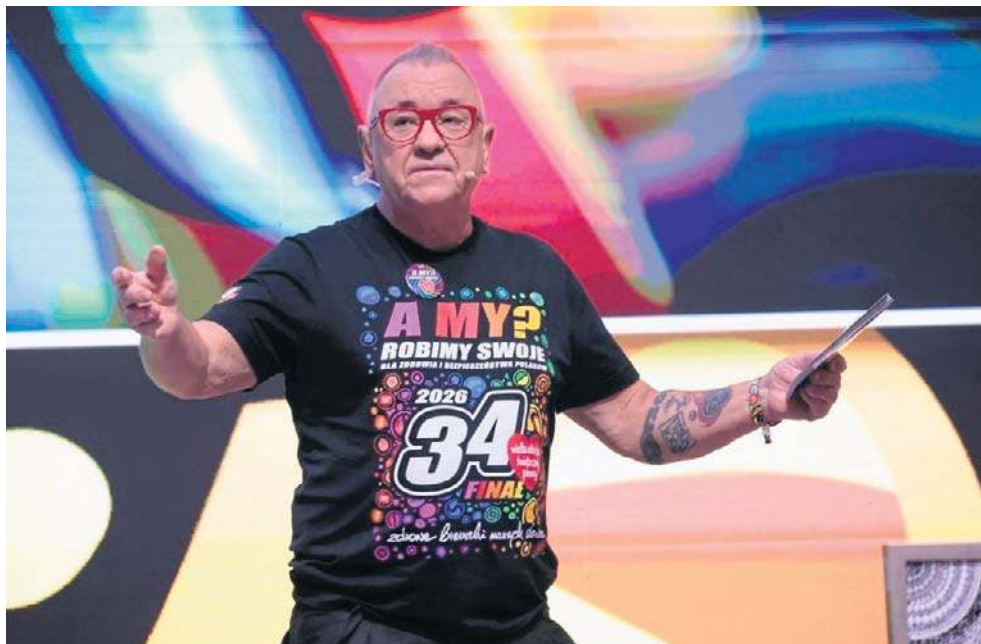
Warszawa gotowa na finał WOŚP. Orkiestra zagra już po raz 34.

Kamil Jabłczyński
Warszawa

W tegorocznym finale będzie 1681 sztabów i 120 tys. wolontariuszy. Orkiestra zagra pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci”.

- Jesteśmy już w pełni przygotowani do kolejnego, 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy - powiedział Jerzy Owsiak na błoniach PGE Stadionu Narodowego w Warszawie, gdzie powstaje ważąca 150 ton scena.

W tegorocznym finale, jak poinformował prezes WOŚP, będzie 1681 sztabów w Polsce i na świecie oraz 120 tys. wolontariuszy. Dodał, że w tym roku WOŚP po raz pierwszy zagra także na Malcie i w Indiach. W sumie poza Polską w 24 krajach i na obu biegunach: na Stacji Polarniej „Arctowski” i Stacji Polarnej Hornsund! Wśród 1681 sztabów znajduje się 88 zagranicznych. Najwięcej poza krajem powstało ich w Wielkiej Brytanii - 25, Niemczech - 12 oraz Holandii - 8. Finał organizowany będzie także w Belgii, Stanach Zjed-



Jerzy Owsiak zapowiada: W tym roku gramy pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci”

noczonych, Irlandii, Francji, Indonezji, Austrii, na Cyprze, w Hiszpanii, Szwecji, Szwajcarii, Chorwacji, Norwegii, Japonii, Luksemburgu, Kanadzie, Australii, Serbii, Tajlandii i Portugalii. - Gramy na całym świecie. Je-

steśmy pełni podziwu, zwłaszcza dla Polaków, którzy robią to poza granicami naszego kraju, bo robią to sami z siebie - podkreślił Owsiak. Część wydarzeń rozpocznie się już w sobotę, m.in. bieg „Policz się z cukrzycą”, or-

ganizowany również wirtualnie. - Wirtualny bieg ruszył 20 stycznia, w ramach którego dystans 5 kilometrów pokonać możecie w dowolnym miejscu na świecie do 25 stycznia włącznie! - dodał Owsiak. - Zapisy na bieg wirtu-

alny wciąż są możliwe, ale już teraz wiemy, że nasze pomarańczowe koszulki zobaczyć będzie można na terenie Angoli, Białorusi, Boliwii, Brazylii, Burkina Faso, Czech, Francji, Hiszpanii, Holandii, Islandii, Meksyku, Niemiec, Norwegii, Portugalii, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Szwecji, Ukrainy, Wielkiej Brytanii i Włoch!

Także w sobotę od godziny 12.00 na błoniach PGE Stadionu Narodowego rusza miasteczko WOŚP. Na miejscu będzie można napić się gorącej herbaty, odbyć ćwiczenia z pierwszej pomocy. Zaplanowane są też od godz. 14 występy artystów. Będą to: Lanberry, Łydka Grubasa, IGO, Nocny Kochanek, LemON, Lor, Happysad, Dżem, Ich Troje, Myslovitz, Hel'entine Oči i Tabu.

Owsiak przypomniał także, że ruszyły aukcje na Allegro. Swoją licytację uruchomił m.in. premier Donald Tusk. Na zwycięzcę czekają złote korki piłkarskie z napisem „Donald Tusk” i spotkanie w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Jerzy Owsiak wymienił dziedziny medycyny dziecięcej, które wzmocniła fundacja dzięki

pieniądzom zebranych w dotychczasowych finałach (w sumie ponad 2,6 mld zł). To m.in. kardiologia, neonatologia, nefrologia, okulistyka i onkologia. - Gdyby ktoś 34 lata temu powiedział mi, że będziemy mówili o takich pieniądzach, to byłbym przerażony i w ogóle nie próbował cokolwiek robić w tym temacie. Ale jeżeli coś robi się konsekwentnie, krok po kroku, z milionami Polaków, to razem można robić rzeczy niezwykle - dodał.

Sprzęt z WOŚP trafia m.in. do placówek specjalistycznych, gdzie leczone są dzieci z całego kraju. Tak jak w przypadku Klinicznego Oddziału Okulistyki w Sosnowcu. Jak powiedział kierownik oddziału prof. dr hab. n. med. Dariusz Dobrowolski, są to urządzenia, które w codziennej praktyce klinicznej mają kluczowe znaczenie, a jednocześnie pozostają poza standardowymi możliwościami zakupowymi szpitali. Trafiły one tam dzięki środkom zebranych podczas 30. Finału WOŚP w 2022 roku. Podczas 33. Finału zebrano ponad 289 milionów złotych. PAP

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny,
1400 zł, w górach koło Wadowic,
tel.: 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustroynie.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →

motofakty.pl



**Motoryzacja
na wysokich obrotach**

motofakty.pl

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej
gazecie
zlecisz bez
wychodzenia
z domu
przez
Internetowe
Biuro
Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Lewandowski ze „swojakiem” i dawno nieoglądanym luzem

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Za nami 7. seria gier Ligi Mistrzów. Było kilka polskich akcentów. Asystę zaliczył Nicola Zalewski. Robert Lewandowski zdobył pierwszą bramkę w obecnej edycji, ale strzelił też... samobója.

Najciekawszym wydarzeniem z punktu widzenia polskiego odbiorcy w ostatniej kolejce UEFA Champions League był mecz Barcelony z udziałem Roberta Lewandowskiego.

Duma Katalonii została zaskoczona już na początku spotkania przez Slavię Praga, która niespodziewanie objęła prowadzenie w 10. minucie po trafieniu skrzydłowego Vasilisa Kušaja. Najaktywniejszym zawodnikiem gości, który dążył do wyrównania, był Fermín López. Hiszpan najpierw dał remis, potwierdzając znakomitą formę z ostatnich tygodni, a następnie dorzucił drugiego gola, popisując się naprawdę efektywnym uderzeniem.

Lewandowski pechowo skierował piłkę do własnej bramki po raz pierwszy w karierze, choć o popularne „swojaki” otarł się już w Bundeslidze (w barwach Dortmundu) oraz w reprezentacji Polski (przeciwko Hiszpanii).

Kolejna bramka, można sobie zaliczyć

- Sytuacja typowo przypadkowa, uderzenie w bark. Po prostu pech - komentowali na antenie Canal+ Sport Robert Skrzyński i Cezary Wilk na początku drugiej połowy rywalizacji. Kolejnym majestatycznym uderzeniem kibiców Blaugrany uradował Dani Olmo, a w 70. minucie Lewandowski wreszcie trafił do wła-



FOT. GRZEGORZ WADIA

Po pierwszej połowie wydawało się, że fart odwrócił się od Lewandowskiego, potem Robert zrobił jednak swoje

ściwej bramki, kończąc akcję z bliskiej odległości.

- Mam dwie bramki: w pierwszej i drugiej połowie, więc jest OK - śmiał się w pomeczowym wywiadzie, prezentując dawno nieoglądany dystans do siebie „Lewy”. - Widziałem, że już wcześniej piłki były wrzucane na bliższy słupek i mieliśmy z tym problem. Chciałem pomóc, ale tak naprawdę nie do końca wiem, gdzie ta piłka się odbiła i jak w ogóle wpadła do bramki. Cóż, czasami tak bywa, ale... kolejna bramka, można ją sobie zaliczyć - mówił Lewandowski dla Canal+ Sport. Przypomnijmy, że napastnikowi po sezonie wygasa

kontrakt, a Barcelona postawiła mu dwa warunki w sprawie jego przedłużenia. Pierwszy to zaakceptowanie roli zmiennika, a drugi to znaczna obniżka pensji.

Asysta i wysokie noty dla Zalewskiego

Polski wątek mieliśmy także w meczu Atalanta - Athletic, w którym zespół z Bergamo poniósł porażkę 2:3. Nicola Zalewski błysnął na początku meczu. W 16. minucie świetnie dośrodkował i zaliczył asystę. Jednak z czasem to piłkarze Athleticu Bilbao przejęli kontrolę nad spotkaniem. Po zejściu Polaka w 65. minucie Baskowie zdo-

byli ekspresowo dwie bramki, które przesądziły o ich zwycięstwie. Zalewski zebrał jednak bardzo dobre recenzje.

Inter z Piotrem Zielińskim w składzie uległ u siebie Arsenalowi 1:3. Bohaterem został Brazylijczyk Gabriel Jesus, który był autorem dubletu. Nerazzurri dzielnie starali się dotrzymać kroku rywalom w hicie, wyrównali nawet za sprawą bramki Petara Šućicia. Arsenal ostatecznie był lepszy, a zwycięstwo 3:1 przypieczętował Kanonierom szwedzki napastnik Viktor Gyökeres. Zieliński zagrał 82 minuty i popisał się kilkoma dobrymi podaniami napędzającymi napastników Interu. Na Arsenal było to jednak za mało. Polak został oceniony na 6,6 pkt.

Karabach Agdam, drużyna Mateusza Kochalskiego, który puścił dwa gole w środkowym meczu (ale przy utracie żadnego z nich nie zawinił, ponownie zbierając pozytywne - zasłużenie! - oceny), wyszarpała cenne trzy punkty w ostatniej akcji spotkania, w okolicach czwartej minuty doliczonego czasu gry.

Juventus ograł Benfikę, ale wciąż bez kontuzjowanego Arkadiusza Milika, który nie zmieścił się w meczowej kadrze.

©P

WYNIKI LIGI MISTRZÓW:

Inter - Arsenal 1:3, Olympiakos - Bayer Leverkusen 2:0, Real Madryt - Monaco 6:1, Sporting - PSG 2:1, Tottenham - Borussia Dortmund 2:0, Villarreal - Ajax 1:2, Bodog/Glinit - Manchester City 3:1, Kajrat - Club Brugge 1:4, Atalanta - Athletic 2:3, Bayern - Royale Union SG 2:0, Chelsea - Pafos 1:0, Juventus - Benfica 2:0, Marsylia - Liverpool 0:3, Newcastle - PSV 3:0, Slavia - Barcelona 2:4, Galatasaray - Athl. Madryt 1:1, Karabach Agdam - Eintracht Frankfurt 3:2, FC København - Napoli 1:1.

Przed nami gigantyczne emocje. Maryna Gąsienica-Daniel straszy rywalki

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

NARCIARSTWO ALPEJSKIE. Szpindlerowy Młyn w Karakonoszach będzie gościł ostatni slalom gigant rozgrywany w ramach Pucharu Świata przed XXV Zimowymi Igrzyskami Olimpijskimi.

W najbliższą sobotę na stokach największego ośrodka narciarskiego w Czechach zobaczymy światową elitę alpejek specjalizujących się w slalomie gigancie. W tym towarzystwie jedną z czołowych ról odgrywa nasza Maryna Gąsienica-Daniel.

W miniony wtorek zakopianka zajęła 5. miejsce w tej konkurencji we włoskich Dolomitach - Plan de Corones/Kronplatz, wyrównując swój najlepszy w karierze wynik w alpejskim Pucharze Świata, który osiągnęła pod koniec grudnia w austriackim Semmering.

Na półmetku Gąsienica-Daniel była szósta, ale miała drugi czas drugiego przejazdu, o 0,36 sekundy gorszy od najlepszej

Austriaczki Julii Scheib, co pozwoliło jej awansować o jedną pozycję.

Tuż przed Maryną została sklasyfikowana słynna Amerykanka Mikaela Shiffrin (rekordowe 107. zwycięstw w alpejskim Pucharze Świata), do której nasza zawodniczka straciła raptem 0,15 sekundy...

Polka po raz pierwszy od prawie trzech lat wróciła w tym sezonie do czołowej „dziesiątki” elitarnego cyklu. Wcześniej udało jej się to w marcu 2023 roku w Andorze, gdzie była ósma.

Rekordowe dotychczas wyniki osiągała w latach 2021-2022, kiedy czterokrotnie zajęła szóstą pozycję. W klasyfikacji slalomu giganta Pucharu Świata Polka plasuje się na 10. miejscu.

Koronna konkurencja Maryny Maryny Gąsienicy-Daniel została zaplanowana na XXV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich na 15 lutego. Na legendarnej trasie Olympia delle Tofane w Cortinie d'Ampezzo czekają nas zatem wielkie emocje.

©P



FOT. PAP/EP

W tym sezonie Maryna Gąsienica-Daniel zajmowała już w zawodach Pucharu Świata dwukrotnie 5. i raz 7. miejsce

Świątek walczy o „Karierowego Szlema”. Hurkacz wraca do domu

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Iga Świątek zameldowała się już w 3. rundzie gry pojedynczej wielkoszlemowego turnieju tenisowego Australian Open (pula nagród: 74 900 000 dolarów amerykańskich).

Niestety, nie powiodło się Hubertowi Hurkaczowi, który musiał pożegnać się z imprezą na kortach twardych „Melbourne Park” po dotkliwej porażce z 21-letnim Amerykaninem z Kalifornii,

Ethanem Quinmem, 4:6, 6:7(5), 1:6. Spotkanie trwało dwie godziny i 15 minut.

28-letni wrocławianin tylko powtórzył w Melbourne ubiegłoroczny wynik.

Dużo więcej optymizmu zaoferował polskiemu kibicom Iga Świątek. W 2. rundzie singla wiceliderka rankingu światowego tenisistek rozbiła Czeszkę Marie Bouzkovą 6:2, 6:3.

Po nadspodziewanie długim, bo aż 2-godzinnym meczu raszynianki w 1. rundzie ze 130. w rankingu Chinką Yue Yuan tym razem emocji było znacznie mniej.

Zajmująca 44. na liście WTA Bouzkova uległa jej po godzinie i 19 minutach.

Sześciokrotna mistrzyni wielkoszlemowa z Czeszką zmierzyła się po raz trzeci i czwartą konfrontacją nie różniła się zbyt od poprzednich. W 2024 roku we French Open oddała rywalce sześć gemów, a w ubiegłym w Wuhan tylko dwa.

Kolejną rywalką Świątek będzie juniorska mistrzyni tego turnieju w grze podwójnej, Rosjanka Anna Nikołajewna Kalińska - w latach 2024-2025 związana prywatnie z włoskim teni-

sistą Jannikiem Sinnerem. Bilans 2-1 dla Igi.

Podopieczna belgijskiego trenera Wima Fissette walczy w Melbourne o „Karierowego Szlema”. Na koncie ma cztery tytuły we French Open i po jednym w US Open oraz na Wimbledonie. Najlepszy wynik Igi w Australian Open to półfinał, które osiągnęła w latach 2022 i 2025.

W turnieju singlowym pozostaje jeszcze Magda Linette. Ze znaną Czeszką Karoliną Muchovą zagra już po raz szósty, ale wygrała jedynie ich pierwsze

spotkanie - w 2019 roku w Nowym Jorku.

W tym roku 33-letnia poznanianka sprawiła już w Melbourne jedną niespodziankę, w pierwszej rundzie wygrała bowiem z rozstawioną z numerem 15. Amerykanką Emmą Navarro. Następnie pokonała jej rodaczkę Ann Li 6:3, 6:3.

Po jednym meczu w zmaganiach singlistów zdołali zagrać w stolicy stanu Wiktoria pozostali nasi tenisisci - urodzona w Ołomuńcu Linda Klimovcova, Magdalena Fręch i Kamil Majchrzak.

Dzisiaj z Polaków zaprezentuje się jeszcze Jan Zieliński, któremu w deblu partneruje Anglik Luke Johnson. Ich rywalkami będą Ray Ho z Tajwanu i Niemiec Hendrik Jebens. ©P

Kasa wypłaci - gra pojedyncza (w USD, nie AUD):

1. runda = 100 965 \$;
2. runda = 151 448 \$;
3. runda = 220 609 \$;
4. runda = 323 088 \$;
- ćwierćfinał = 504 825 \$;
- półfinał = 841 375 \$;
- finaliści = 1 447 165 \$;
- zwycięzca = 2 793 365 \$.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie – myśl Karla Krausa.

ROZWIĄZANIE: PRAWA KOBIET TO OBOWIĄZKI MĘŻCZYZN.